

Flysport

www.flysport.pl

Cena: 12,90 zł
11-2010 (10)

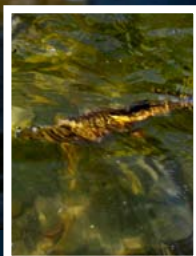


W krainie pływających kamieni
Podsumowanie sezonu pstrągowego
Czarny Dunajec - ostatnia ostoja
Oczyszczenie
Dwugłós
Sudecka jesień - Okaleczona piękność
Puchar Ziem Północnych

Sudety

Sudecka jesień

Cykl artykułów o rzekach
sudeckich



Józef Zając

Czarny

Dunajec

Ostatnia ostoja dunajeckie-
go lipienia

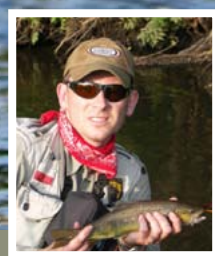


Jan Znaniec

Kraina

Pływających kamieni

Nowa Zelandia oczami
muszkarza z Polski



Przemek Iisowski

Wędkarstwo muchowe to styl życia. Sposób patrzenia i interpretacji rzeczywistości - jak w życiu liczy się wiedza, doświadczenie, jakość, styl, skuteczność... takie właśnie są muchy od wielu lat rodzące się dla Was na czubku mojego imadła.

*Zapraszam do sklepu
Antek Bogdan*

Antoni Bogdan
ul. Ogrodowa 13/8
38-300 Gorlice
Tel. dom.: (018) 353-53-52
Tel.kom.: 503 020 667

www.ab-fly.pl





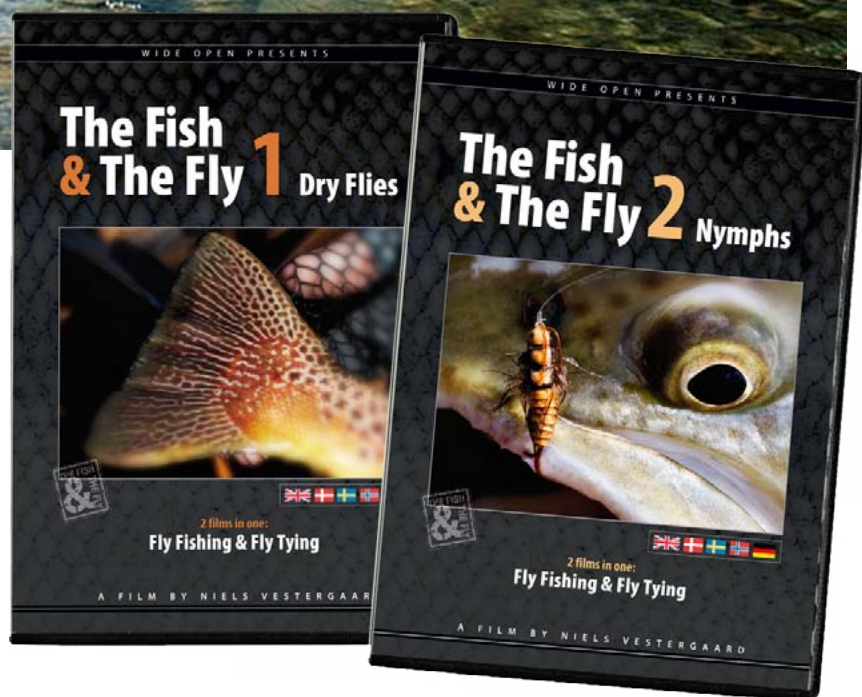
Płyty DVD

The Fish & The FLY 1 - Dry Flies 112 minut

The Fish and the Fly 2 - Nymphs 143 minuty

Obie płyty zawierają materiał dotyczący technik łowienia na muchę i wyjaśniają sposoby wykonywania much. Wysoka jakość wydania. Materiał filmowy nakręcony w trakcie wizyt na łowiskach w Danii, Niemczech, Szwecji, Nowej Zelandii i Grenlandii. Muszkarz łwi ryby na przygotowane wcześniej przez siebie wzory (10) much.

www.wideopen.dk



www.fishing-mart.com.pl

Veniard, Harelaine, Marc Petitjean, Snowbee,
Hanak, Skalka, Stonfo, Dr Slick, Rite Bobbin,
i inne muchowe marki - sprawdź nas!





Wydawca: MIECZNIK Jerzy Paluch

Adres Redakcji: Flysport 28-330 Wodzisław
Laskowa 21 Polska
NIP 634 001 73 33 ISSN 0000-0000

Telefon: (+48) 0 509 592 386;
+48 0 600 541 382
Internet: www.flysport.pl
e-mail: redakcja@flysport.pl

Redaktor Naczelny: Jerzy Paluch
Sekretarz Redakcji: Paweł Zajęc

Współpracownicy: Zdzisław Czekala, Tomek Kotelon, Przemek Lisowski, Wojciech Marzec, Janusz Panicz, Arkadiusz Wyroślak, Józef Zajęc, Janek Znaniec

Zdjęcie na okładce: Wojtek Marzec

Kolportaż: www.e-kiosk.pl

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych wcześniej, jednakże w przypadku ich publikacji zastrzegamy sobie prawo ich skracania. Wydawnictwo MIECZNIK nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń i ma prawo odmówić ich publikacji bez uzasadnienia. Wydawnictwo nie ponosi odpowiedzialności za treści publikowane przez autorów oraz za ewentualne błędy i nieścisłości.

Wszelkie materiały są objęte prawem autorskim.

Przedruk materiałów w jakiegokolwiek formie i w jakimkolwiek języku bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy jest zabroniony. Wydawca zabrania kopiowania i kolportażu pisma.

Nie stosowanie się do powyższych zakazów skutkuje odpowiedzialnością karną.

Drodzy czytelnicy,

Powiało grozą. Inicjatywa oddolna kilkudziesięciu muszkarzy, poparcie mediów i ludzi mało związanych z wędkarstwem, nic nie dała. Łowisko na Białym Dunajcu nie otrzymało od Zarządu PZW Nowy Sącz statusu No Kill.



Franek był przygnębiony. Jego zaangażowanie i praca jaką wkłada w ochronę łowiska nie dość, że nie została zauważona, to dodatkowo jest represjonowana przez kilku działaczy okręgu. Przed głosowaniem w sprawie statusu łowiska jeden z działaczy obdzwaniał członków okręgu i agitował, żeby nie głosować za powstaniem takiego łowiska.

Może się mylimy. Może nie mamy racji? Może ichtolog okręgu ma rację argumentując, że duże ryby będą stanowić w łowisku No Kill zbyt dużą konkurencję dla małych i te małe wyginą...

Pytania nasuwają się same. Dlaczego inicjatywa tak cenna, jest napiętnowana. Dlaczego aktywność członków koła nie jest nagradzana i nie budzi zaufania wśród władz. Dlaczego osobom, za którymi stoi już kilkadziesiąt osób z całej Polski nie pomoże się w rozwijaniu tak wspaniałej inicjatywy. Z naszej strony jak i ze strony wielu wędkarzy muchowych z całej Polski, poparcie będzie rosło proporcjonalnie do zaangażowania osób zainteresowanych rozwojem tego łowiska i wpływających w nim pstrągów i lipieni.

Sprawę będziemy kontrolować i za jakiś czas pokusimy się o proste porównania. Na przykład z komercyjnym odcinkiem specjalnym na Dunajcu.

Redaktor Naczelny
Jerzy Paluch

OKIENKO SPRZĘTOWE | Loon Outdoors- klej szybkoschnący

Loon Outdoors UV Knot Sense - szybkoschnący klej, który pod działaniem promieni UV schnie w kilka sekund.

Idealny do wykonywania przezroczystych grzbiecików i pochwówk nimf. Bardzo dobrze sprawdza się przy wykonywaniu grzbiecików kielży. Można go stosować do zabezpieczania węzłów i wzmacniania główek much.

Po nałożeniu kleju na muchę należy wystawić go na działanie promieni słonecznych lub użyć latarki UV. Tworzy jednolitą, twardą, gładką powłokę zbliżoną w swoim wyglądzie do przezroczystej folii.



www.fishing-mart.com.pl



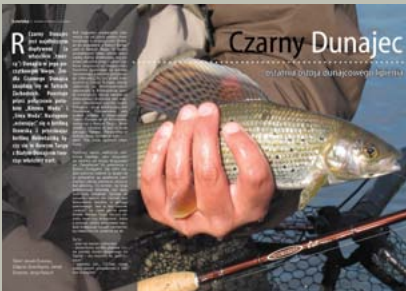


06 Świat

Muszkarstwo na świecie

06 W krainie pływających kamieni - *Przemek Lisowski*

18 Historia jednego obrazu - *Przemek Lisowski*



22 Łowiska

Łowiska w Polsce i za granicą

22 Czarny Dunajec - ostatnia ostoja dunajeckiego lipienia - *Janek Znaniec*

28 Sudecka jesień - Okaleczona - *Józef Zając*

32 Oczyszczenie

36 Podsumowanie sezonu pstrągowego

46 Dwugłós - Gdzie rozgrywać zawody? *Lisowski vs Paluch*

52 Dom latających rowerów



54 Sport

Wydarzenia sportowe, relacje z zawodów

56 Puchar Ziemi Północnych 2010 - *Adam Sujka*



Pamiętam jak pod koniec lat 80-tych w „Wiadomościach Wędkarskich” ukazał się krótki cykl artykułów stanowiących pamiętnik autora z wędkarskiego pobytu w Nowej Zelandii. Lektura była baśnią z tysiąca i jednej nocy! Nigdy nie przypuszczałem, iż i mi dane będzie zasmakować tej muszkarskiej uczyty.

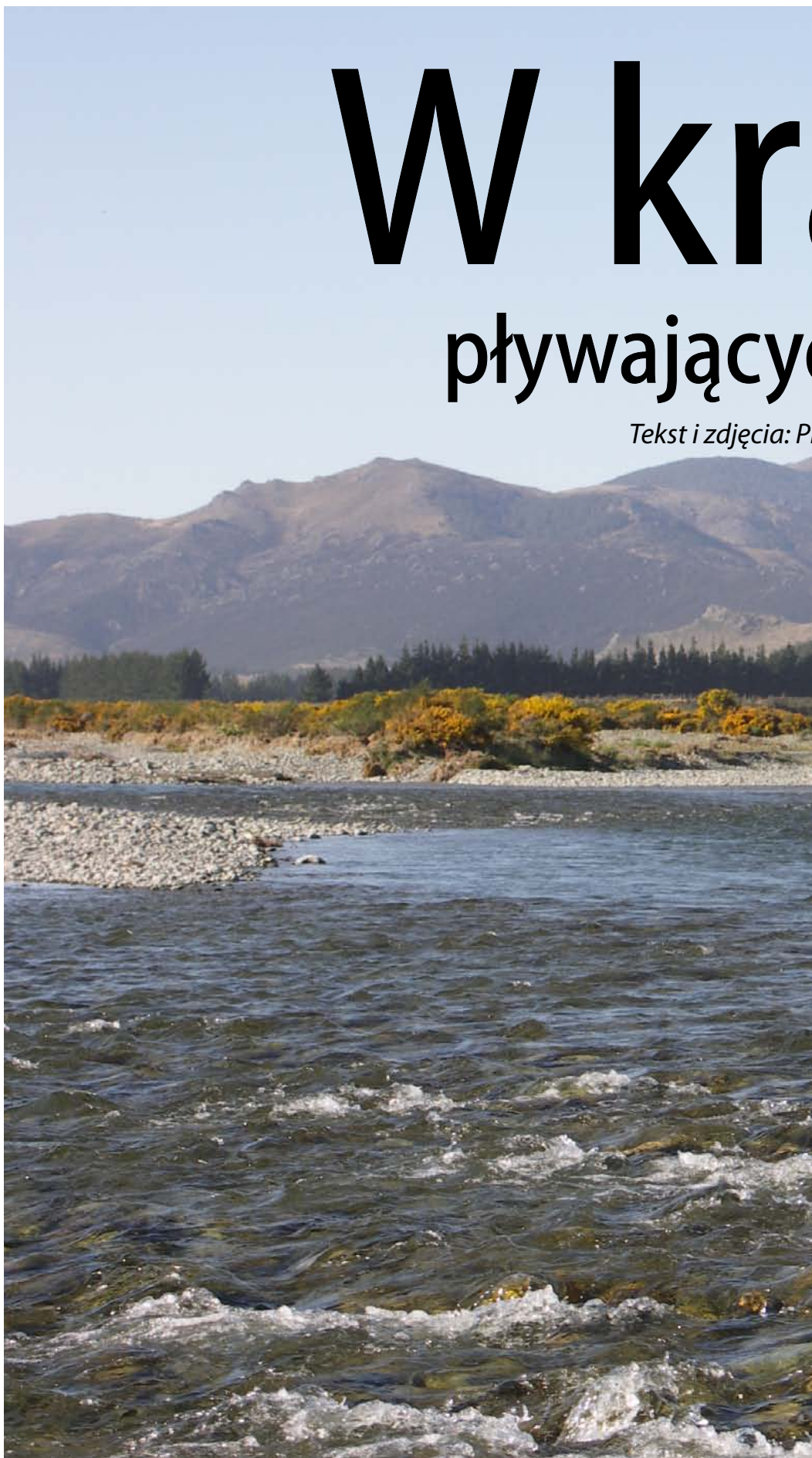
Gdy na „Flyfishing” zaczęły się pojawiać artykuły Jarka Jurasza opisujące Jego zmagania z ogromnymi potokowcami i tęczakami, decyzja mogła być tylko jedna – jada!

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Aktualnie mieszkam w New Delhi, więc do Nowej Zelandii mam relatywnie bliżej niż Koledzy z Polski, ale połączenia lotnicze są tak ustawione, że podróż w jedną stronę zajmuje 2 dni. Nietrudno więc policzyć, iż z 9-dniowego urlopu, niemal połowę spędziłem w samolocie lub na lotniskach w oczekiwaniu na przesiadkę.

Inny problem dotyczył niezbędnego sprzętu. Początek października jest wędkarsko na Nowej Zelandii optymalny. Jeszcze trwa ciąg pstrągów tęczowych do rzek wpadających do jeziora Taupo, ze sławną Tongariro na czele, ale można też już zacząć polować na potokowce. Tylko, że okres ten na wyspie jest początkiem wiosny. W nocy temperatura spada poniżej zera, w dzień też nie jest za ciepło i często leje. Skąd w Indiach wezmę gorotexy, polary, śpiwory, spodniobuty do brodenia itp. artykuły, które według informacji Jarka są niezbędne? Wszystko trzeba było

W krę pływającym

Tekst i zdjęcia: P



ainie ch kamieni

rzemek Lisowski



· przytaszczyć z Polski. Oczywiście
· Nowa Zelandia jest krajem cywilizo-
· wany i potrzebny ekwipunek moż-
· na zakupić na miejscu, ale uznałem
· to niepotrzebną stratę czasu i pieni-
· dzy.

· Tak więc po 40 godzinach od opusz-
· czenia New Delhi, dnia 5 paździer-
· nika o godz. 15.30 czasu lokalnego
· stopa ma dotknąć „dziewiczej” płyty
· lotniska w Wellington, gdzie czekał
· na mnie najwybitniejszy przedsta-
· wiciel polskiej szkoły muszkarstwa
· w Nowej Zelandii, Jarek. Po zapako-
· waniu się do komfortowego pojazdu
· marki Mitsubishi „Galant” mój Cy-
· cero ustala kierunek – miejscowość
· Tauranga na brzegu jeziora Taupo w
· sercu Wyspy Północnej. Pokonanie
· 350 km z Wellington zajmuje nam
· około 4 godzin. Po drodze mijamy
· niezliczone rzeki, rzeczki i strumyczki,
· które według Jarka, zamieszkiwana
· są w zdecydowanej większości przez
· pstrągi. Potencjał wód pstrągowych
· Nowej Zelandii przeciętnego polskie-
· go muszkarza jest w stanie wpędzić
· w głęboki stres. Fakt, iż pogłowie ryb
· w niektórych ciekach nie zawsze jest
· zadawalające, jest jednak wynikiem
· czynników naturalnych, a nie kłu-
· sownictwa czy tworzenia „pięknego”
· jeziora zaporowego na ich biegu.

· Do Taurangi przyjeżdżamy późno
· w nocy, co jednak nie powoduje u
· Jarka odruchu litości. Wygania moje
· ledwie zipiące zwłoki /dwie noce w
· samolocie/ na ujście rzeki Tauranga-
· Taupo do jeziora. Wcześniej oczywi-
· ście wykupuję na stacji benzynowej
· tygodniową licencję na region Tau-
· po za całe 27 miejscowych dolarów,
· co stanowi około 15 USD! Barszcz...
· Stoję po ciemku, po pachy w wodzie,
· trzęsąc się jak wibrator i staram się
· udawać entuzjazm... Przez 2 godzi-
· ny mordęgi mój „entuzjazm” zosta-
· je tylko chwilowo zakłócony przez
· jakiegoś tęczaka, który nie bacząc
· na wspomniane powyżej warunki
· klimatyczno-nastrojowe postanowił
· zaatakować gumowe coś, co udawać
· ma stynkę. Taki miejscowy specjał,
· przypominający twister na haku
· streamerowym. Ale moja pierwsza
· znajomość z przedstawicielem miej-
· scowej ichtiofauny trwa zaledwie

sekundę. Resztę nocy spędzam dygocząc jak ... wiadomo co, w zbyt lekkim śpiworze w nie ogrzewanym domku należącym do kolegi Jarka z klubu muszkarskiego w Wellington. Jakość budownictwa mieszkalnego w Nowej Zelandii faktycznie pozostawia wiele do życzenia.

Nadejście ranka i związaną z tym możliwość wbicia się w ciepłe polary, przyjmuję jak zbawienie. Szybko wrzucamy coś na ząb /żarcie w Nowej Zelandii to chyba kolejny słaby punkt, ale jeden z niewielu/ i jedziemy nad Tongariro. Jarek już wcześniej informował mnie, iż przez ostatnie kilka dni lało i w związku z tym rzeki są mocno zmaćcone, ale i można się spodziewać większego ciągu tęczaków wstępujących z Taupo.

Wybieramy górny, leśny odcinek. Po dojechaniu do parkingu, do którego prowadzą nas specjalne znaki drogowe dla wędkarzy /wspomniałem, że to cywilizowany kraj/, wychodzimy na najbliższe miejsce zwane „Blue Pool”. Wszystkie głębokie płanie, zwane „pools”, na Tongariro mają swoje nazwy i są „rozpracowane” w miejscowych przewodnikach wędkarskich, tzn. gdzie stanąć, jak rzucić, co rzucić, gdzie rzucić itd. Nad wodą zastajemy miejscowego wędkarza, który wymachuje przedziwnie przygotowanym zestawem. Na końcu pływającej linki umieszczony jest ogromny pływak ze sztucznego włókna /indykator/, poniżej zaś ponad 3-metrowy przypon uzbrojony w jedną, piekielnie ciężką nimfę, zwaną przez Jarka „bombą”. Dopiero do jej kolanka przywiązuje się około 30-centymetrowy trok z cieńszej /około 0,25 mm/ żyłki zakończony właściwą przynętą. Jest nią nimfa o nazwie „Glow Bug” - kulka z syntetyku imitująca ziarno ikry. Zupełnie to do mnie nie przemawia, ale fakt iż wspomniany „Kiwi” wyciąga przy nas 1,5-kg kelta tęczaka, zwanego tu „slab”, oraz ogromny uciąg mocno podniesionej rzeki, powodują iż zapominam o streamerze. Idziemy w górę rzeki. Jest piękna. Ogromne głazy, drzewa leżące w nurcie, zwężenia, wsteczne prądy. Cudo! No i te





· tytułowe pływające kamienie – pu-
 · meks. Pełno go w każdym wypoko-
 · jeniu prądu. Kilka biore na pamiątkę.
 · Na brzegu zaś Park Jurajski w ko-
 · lorach złotej polskiej jesieni. Kilku-
 · metrowe drzewiaste paprocie, gi-
 · gantyczne aloesy, palmy. Jednym
 · słowem wszystko, tylko nie to, co
 · jest nam dane oglądać nad naszymi
 · rzekami.

· Po chwili docieramy nad „Sand Pool”.
 · To praktycznie ostatnie miejsce w
 · górę rzeki, na którym można łowić
 · w tej porze sezonu. Uzbrajam wędkę
 · na tutejsza modę i zaczynam śmigać
 · na wylocie głębokiej wody. Jarek
 · ustawił się w bardzo obiecującym
 · wlewie, kilkanaście metrów powyżej.
 · Obserwując Go uważnie dochodzę
 · do wniosku, iż metoda sama w sobie
 · jest prosta, tylko trzeba nauczyć się
 · wyczuwać głębokość wody, ukształ-
 · towanie dna i umiejętnie poprawiać
 · linkę nie powodując podnoszenia
 · nimf. Po kilku minutach łowienia z
 · kieszeni kamizelki wypada mi szpul-
 · ka z żyłką. Pędzę za nią panicznie po
 · kamieniach, dopadam, a gdy ją pod-
 · noszę czuję, że coś siedzi na końcu
 · wędki. Niestety pstrąg, praktycznie
 · nie zacięty, spada. Poczynam się, że
 · nie był duży. Jarek idzie w dół rzeki
 · i zostaję nad wodą sam. Odjazd in-
 · dykatora w bok kwituję ostrym za-
 · cięciem, ale czuję tylko krótki opór.
 · Ponowny rzut w to samo miejsce i
 · tym razem wiem, że na końcu węd-
 · ki mam rybę. Ale coś jest nie tak,
 · pulsuje niemal w miejscu, wygina-
 · jąc mojego „Sage XP # 7” do granic
 · możliwości. Wszystko trzeszczy i ję-
 · czy. Przez chwilę pokazuje mi się pod
 · powierzchnią potężne cielsko tęcza-
 · ka, który zaczyna spływać pod brzeg
 · – rybsko jest wyraźnie podhaczone.
 · Znowu znajomy luz. I znowu jestem
 · w roli wibratora, ale nie z zimna by-
 · najmniej...

· Gdy postanawiam zmienić miejsce,
 · pojawia się strażnik. Niesie ze sobą
 · jakieś dziwne przyrządy. Później Ja-
 · rek wyjaśni mi, iż służą do namie-
 · rzania w rzece ryb, którym wcześniej
 · wszczepiono nadajniki. Grzecznie
 · pyta czy coś złowiłem, a następnie
 · radzi spróbować na małym dopływie
 · wpadającym do Tongariro poniżej.

Prosi o pokazanie licencji, to wskaże mi to miejsce na załączonej do niej mapce. Z takiej zawaolowanej kontroli czerpię niemal masochistyczną przyjemność... W międzyczasie Jarek złowił jednego „slaba”, ale jako to powinno się robić na całym świecie, darował mu wolność. Zgodnie z radą strażnika przenosimy się na dopływ, który ma wielkość pomorskiej Szczyry. Ryby są, ale się trą, a ja zacinam na krótką nimfę parę maluchów.

Błyskawicznie pochłaniamy lunch w postaci króla tutejszej kuchni, tj. hamburgera i jedziemy na oddaloną o około 30 km Waitahanui. To też dopływ Taupo. Zastajemy nad nią sporo zaparkowanych samochodów, ale Jarek mówi bym się nie przejmował. Rzeka jest dużo mniejsza od Tongariro i prawdę mówiąc czuję się nad nią pewniej. Postanawiam, że dość zabawy - nie będę się do miejscowych ryb zabierał w rękawiczkach. W ruchu idzie Polish nymph. O ile może w tej roli wystąpić „Blow Bug”.

Kolejne 3 godziny to euforia przeplatana z horrorem. Zacinam w sumie 7 ryb, z czego 6 ma powyżej 50 cm. Ale brak jest miejsca gdzie z można by z tymi fruującymi tęczakami powalczyć! Rybska bezstresowo ładują się w krzaki porastające bujnie brzoogi Waitahanui, a moja irytacja rośnie z każdym zerwanym pstrągiem, zwłaszcza, że jedną z ryb oceniam na około 70 cm! Wreszcie jednego zacinam na otwartej wodzie. Lata jak poprzednie, robiąc kilkumetrowe odjazdy w dół rzeki. Holuję go ultra ostrożnie, z czego Jarek będzie miał przy późniejszych rybach niezłą zabawę. Wreszcie po kilku minutach podciągam zmęczona rybę do przytopionych traw i ... jest mój. Fotka i do wody. Super, pierwszy duży tęczak na Nowej Zelandii! Gdy wieczorem spotykam się z Jarkiem, nie chcę wierzyć własnym uszom. Nikt nic nie złowił, nikt nie miał nawet brania! Ale jestem cool gość z dalekiego kraju!

Wieczorem kręcimy straszliwe „Glow Bugi” i popijamy. Po znacznie bardziej komfortowo spędzonej nocy jedziemy nad dolne Tongariro. Niestety





okazuje się, iż znane Jarkowi miejsca zostały przez ostatnią wysoką wodę zamulone i ratujemy honor łowiąc po jednym ok. 1,5-kilogramowym kelcie. Tracimy też po jednej rybie.

Wieczorem przeprowadzamy atak na środkowe „poole”. Wybór Jarka pada na „Admiral’s Pool”. Zero. Brak brań. Czysta, zdrowa ludzka zawiść pozwala nam się jedynie cieszyć, iż schodzący przed nami z tej miejscówki „Kiwusi”, i to z przewodnikiem, też byli bez ryb. To był znak, który niefortunnie zignorowaliśmy. Na innych miejscówkach działa się znacznie lepiej – widzimy kilka osób taszczących okazałe pstrągi. Generalnie mało ludzi zwraca sobie głowę takimi fanaberiami jak „catch and release”. Przynajmniej w zlewni Taupo. Następnego dnia jeden z „Kiwi” wręcz spyta Jarka czy nam ryby nie smakują, że je tak wypuszczamy...

W związku z miernymi rezultatami na Tongariro, postanawiamy kolejny ranek zadedykować rzece Tauranga-Taupo. Ponownie cywilizowany dojazd do parkingu znajdującego się około kilometra od ujścia do jeziora i dalej z buta. Zaczynamy od pięknej rynny, tzn. Jarek zaczyna od złowienia fajnego srebrniaczka ponad 1,5 kg, zaś ja od zerwania dwóch zestawów. Ale mimo to rzeka mi się podoba coraz bardziej z każdym przebyłym zakrętem. Ma wielkość naszej Raby, tylko niesie znacznie więcej wody. Natomiast brzegi przypominają Białkę Tatrzańską, a to za sprawą całych połaci pozrywanego lasu i licznych rozgałęzień. Wreszcie i ja mam branie. Ryba zaatakowała nimfę w ujściu ślepego kanału, który kiedyś był głównym korytem rzeki, obecnie odciętym przez ostatnią powódź. Tęczak walczy dzielnie. Na tyle dzielnie, że zrywa mi, najwyraźniej nadwyreżoną na zaczepach, żyłkę. Idziemy dalej.

Praktycznie przy każdym zakręcie trzeba przekraczać rzekę, bo brzegi są jedną wielką płataniną jeżyn i roślinki o nazwie „gorse”, którą sprowadzono na Nową Zelandię do sadzenia żywopłotów. Obecnie rozprzestrzeniła się tak, iż miejscami wyspa przy-

pomina jeden wielki żywoplot. Po kilkuset metrach docieramy do pięknej wolnej rynny pod lewym brzegiem. Obławiamy ja sumiennie i za chwilę mój wrzask oznajmia światu, iż jeeeeest!!! Proszę Jarka o zrobienie zdjęć. Nie może. Przyczyna jest prozaiczna - też zacina podobnego tęczaka, ale Jego ryba spada. Podobnie jak kolejna zapięta za chwilę. Ja swoją dwójkę ładuję szczęśliwie, ale zdjęć nie da się zrobić. „Minolta”, którą miałem w kieszeni kamizelki na plecach złapała wodę i już do końca naszej wyprawy będzie mi służyła jako dociążenie bagażu.

Dalej w górę rzeki nie da się iść gdyż uniemożliwia to busz na naszym brzegu, a jej przejście w tym miejscu jest zadaniem dla samobójców. Wracamy obławiając ciekawsze miejscówki. Jarek pokazuje mi dołek gdzie ostatnio miejscowi połowili przy nim „na wizir”. Ja zupełnie nie „na wizir” przycinam przy końcówce krzaków piękną rybę. Po kilku minutkach tęczak 2,5 kg jest na brzegu. Ten też „nam nie smakuje”. Zaraz poniżej, tylko pod prawym brzegiem, widzę jak do moich nimf podnosi się kolejna ryba, ale tylko ją musnąłem. Kolejne przepuszczenie i jakieś 2 metry powyżej indyktor nurkuje ostro pod prąd. Zacinam i wiem, że ten jest większy. Walczy wściekle w dołku, a potem rzuca się w dół rzeki, ściągając mnie dobre 50 metrów z prądem. Dalej niestety T.T., jak pieszczołiwie zwą ją „Kiwusi”, przechodzi w ostry wlew i muszę go holować ostrzej. Przy próbie podprowadzenia ryby do brzegu wędka prostuje się. Kolejny popłynął z muchą... Szkoda, bo miał dobra trójkę. Obaj z Jarkiem czujemy, że ryby zaczęły się ruszać, co potwierdza zacięcie przez niego trzech okazałych pstrągali na krótką nimfę w głębokim wlewie. W dwóch przypadkach sprawa kończy się świstem uciekającej linki i wypięciem się ryb, ale ostatni nieszczęśnik daje się wyholować. Ma około 2,5 kg. W miejscu gdzie zaczynaliśmy, łowią miejscowi. Na ich oczach niemal jednocześnie zapinamy ryby. Mój srebrniaczek wyskakuje jak z procy i uwalnia się z haczyka, zaś Jarek wyciąga kolejnego tęczaka, tym razem





: kelta. Próbuje tłumaczyć „Kiwusom”
 : sposób, w jaki łowimy, ale oni są za-
 : programowani na śmiganie swoimi
 : indykatorami. To niech śmigają...

: Popołudnie zastaje nas nad Waitaha-
 : nui. Obiecujemy sobie, że tym razem
 : krew się poleje. Trzeba zawieźć jakąś
 : rybkę dla naszych nowych gospoda-
 : rzy – wieczorem przenosimy się nad
 : Mohakę. Oczywiście w robotę idzie
 : znowu krótka nimfa. Przez 2 godzi-
 : ny mam na koncie zapięte 4 ryby i
 : puste łapy. Dwa pierwsze tęczaki od-
 : pływają z muchami. Po dalszych kil-
 : kunastu minutach podkradam się do
 : niewielkiego dołka pod krzakami na
 : przeciwnym brzegu. Miejscówka jest
 : czysta, zupełnie bez zaczepów, tylko
 : poniżej woda marszczy się na jakiejś
 : podwodnej przeszkodzie, stopniowo
 : przechodząc w wąski i głęboki wlew.
 : Przy pierwszym podaniu muchy, na
 : może 3-metrowej linie, zacinam ko-
 : losa. Pstrąg tęczowy, którego oce-
 : niam na 80 cm wyskakuje na ponad
 : metr w powietrze. Gdyby się teraz
 : wypiął to rozstałbym się z nim bez
 : żalu. Przecież wyciągnięcie takiej ha-
 : labardy z małej, zakrzaczanej rzeczki
 : jest niemożliwe! Ale jakimś cudem
 : udaje mi się opanować szaleńcze,
 : acz krótkie odjazdy ryby i zmusić ją
 : do walki w dołku, w którym wzięła
 : nimfę. Zabawa trwała już dobre 10
 : minut i tęczak zaczął lekko ślaniać
 : się na boki przy kolejnych uciecz-
 : kach. Tylko jak go podebrać przy
 : stromych burtach? Kilka metrów po-
 : niżej dostrzegłem niewielką zatoczkę
 : z płaskim brzegiem i ... to był mój
 : błąd. Ryba chyba instynktownie wy-
 : czuła szybszy nurt przy końcu dołka
 : i ostatkiem sił dała susa w dół rzeki,
 : przewalając się przez kłodę leżącą
 : na dnie. Gdy wypłynęła przy brzegu
 : z przerażeniem stwierdzam, iż „Glow
 : Bug” zwisa bezwładnie przy wielkim
 : pysku, zaś kontakt z tęczakiem mam
 : dzięki ciężkiej nimfie, którą się obec-
 : nie podhaczył za bok. Pierwsze moje
 : dotknięcie powoduje kolejny odjazd
 : ryby w kipieli wlewu poniżej. Nic nie
 : mogę zrobić, tylko obserwuję kolej-
 : ne metry ubywającego z kołowrotka
 : sznura. Busz na brzegu uniemożliwia
 : jakąkolwiek pogoń za rybą. Tak że-
 : gnam się z rybą życia – tęczaka oce-
 : niam na dobre 4-5 kg. Okazuje się,

że Jarek też toczył walkę z „drzewnymi” pstrągami, zrywając trzy z czterech zaciętych ryb. Jedyna wyholowana była keltom. Wynik dnia: u mnie 10 sztuk zaciętych i 2 wyjęte, zaś u Jarka 11 zaciętych, z czego 4 na brzegu.

Późny wieczór wita nas na kwadrze w górach nad opisywaną przez Jarka rzeką Mohaka. Spędzamy go typowo po polsku, tj. kręcąc muchy i popijając... wiadomo co. Niestety rano miny nam się wydłużają. Praktycznie wszystkie ciekły w okolicy niosą zmaconą wodę, efekt potężnych ulew sprzed kilku dni. Mijane kolejno Mohaka, Waipunga i Rangitaiki nie nadają się do łowienia. W tej sytuacji zapada jedynie słuszna decyzja – wracamy na T.T.!

Nad rzekę docieramy około południa. Pomimo ośmiu samochodów na parkingu dzielnie przedzieramy się do górnych „pooli”. Zaczynamy łowić tam, gdzie nie udało się nam dotrzeć dzień wcześniej. Po kilku pierwszych rzutach zacinam pięknego, 2-kilogramowego srebrniaka. Ten już okazał się „smaczny”. Jarek wyjmując jednego kelta i drugą rybę traci. Powyżej rzeka rozgałęzia się i na pierwszy rzut oka wydaje się mało ciekawa. Mój nochal mnie jednak nie zawodzi. Pakuję się przez zalegające koryta drzewa w wąską odnogę przy prawym brzegu. W przeciągu kilku minut zacinam trzy ryby. Pomimo że są to kelty, walczą wspaniale. Szczególnie ten zapięty za ogon... którego Jarek wygrzebuje z krzaczorów przy pomocy podbieraka pożyczonego od przygodnego wędkarza. Niestety pomoc Jarka przy lądowaniu kolejnej ryby drogo nas kosztuje – teraz Jego aparat nadaje się /mam nadzieję że czasowo/ co najwyżej do roli przycisku do papieru... Zaraz powyżej wyciągamy po srebrniaku. Ryba Jarka jest chyba najmniejszą tego wyjazdu, ma bowiem „tylko” 45 cm. Dalej rozdzielamy się bo Jarek idzie w górę na znane sobie z poprzednich wyjazdów miejsca. Ja zostaję w głębokiej rynnie pod prawym brzegiem rzeki. Poniżej i powyżej łowią „Kiwusy”. Niech patrzają... Zapinam kolejno cztery ryby, z których wyciągam





· dwie, w tym piękną, acz wytartą,
· 64-centymetrową samicę. Pomimo
· że oddaliśmy się bardzo od samocho-
· du, jakaś siła każe nam przeciwko
· rzeki, do nowych, lepszych, bardziej
· rybnych miejsc. Gdy rozum śpi...

· Kolejny wlew i kolejne dwa tęczki
· przegrywają ze mną pojedynkę. Je-
· den, przepięknie ubarwiony samiec
· wyskakiwał chyba z dziesięć razy!
· Jarek łowi ślicznego srebrniaczka,
· którego też postanawiamy zabrać.
· Jeszcze nie widziałem tak pięknie i
· harmonijnie zbudowanej ryby! Zno-
· wu mijamy miejscowych, na oczach
· których wywęlekam wstępującą rybę
· z małej kieszonki pod krzakami. Da-
· lej piękne rynny, ale niemożliwe do
· obłowienia z naszego brzegu. Idzie-
· my dalej, niemal do końca odcinka,
· na którym dopuszczone jest łowienie
· zimą. Zostawiam Jarka i samotnie
· docieram do miejsca zwanego „Wire
· pool”, od przewodów przechodzą-
· cych nad rzeką. T.T. tworzy w tym
· miejscu głęboki wlew z wielkimi
· głazami na dnie. Wielkie są nie tyl-
· ko kamienie. Także pstrągi, które
· tu mieszkają. Zaczynam trzy ryby, z
· czego dwie 60-centymetrowe lądują
· na brzegu. Jedna zalicza w ... Jutro
· wracamy do Wellington i trzeba coś
· zawieźć Rodzinie, u której mam spędzić
· ostatnią noc. Okazuje się, że Ja-
· rek też zamordował jeszcze jednego
· okazałego, niemal 60-centymetro-
· wego srebrniaka. Droga do samo-
· chodu zajmuje nam ponad godzinę.

· Wracamy uginając się każdy pod cię-
· żarem 5 kg ryb i wrażeń całego dnia.
· Rezultat: z zapiętych 15 ryb wyholo-
· wałem 12, zaś Jarek, który nie miał
· wyraźnie dnia /to przez aparat/ wy-
· ciągnął 4 z siedmiu zapiętych sztuk.
· Dla mnie pełen odjazd!

· Wieczorem Jarek ujawnia kolejny ze
· swych niezliczonych talentów – ku-
· charski. Przygotowany przez Niego
· pstrąg smakuje wybornie, podobnie
· jak gulasz z dzikiego indyka, które-
· go upolował dzielący z nami kwatery
· Adrian, przewodnik myśliwski z Tau-
· po.

· Ostatni dzień wita nas równinny
· krajobrazem południowej części
· wyspy. Pomimo to okolice Napier

nie odbiegają od nowozelandzkiego standardu, jeśli idzie o ilość wód pstrągowych.

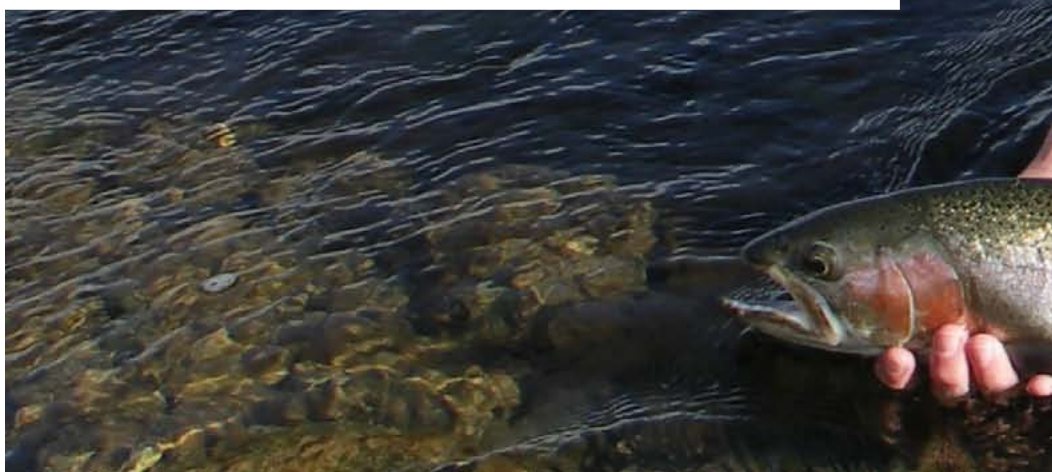
Wybór Jarka pada na rzekę o dźwięcznej nazwie Tukituki. Piękna, płynąca w szpalerze wierzb woda zamieszkała jest głównie przez pstrągi tęczowe, których wielkość odbiega jednak znacznie od tych z rejonu Taupo. Pierwszy raz na Nowej Zelandii mam okazję połowić na moją „czwórkę” XP. Tęczaki, takie do 35 cm, dość chętnie atakują nimfy „Pheasant tail” i inne brązowe „złotogłówki” podane po polsku...

W jednym z głębozczków zapinam sporą rybę, która nie zdradza ochoty do lotniczych akrobacji i według Jarka jest prawdopodobnie pstrągiem potokowym. Niestety schodzi. Prawdopodobnie ze względu na długą i chłodną zimę potokowce w tym roku nie były zbyt aktywne na początku sezonu i musieliśmy się zadowolić tęczakami. Chciałbym mieć takie rozterki w Polsce...

Trzeba się zwijać. Ostatnia noc w Wellington to rozmowa do rana z przemiłą polską Rodzinką, Kasią i Tomkiem, którzy w Nowej Zelandii osiedli na stałe. Dzięki Wam za gościnę!

Nowa Zelandia jest wędkarskim rajem, choć aby do niego dotrzeć trzeba przejść przez ... piekło. Połączeń lotniczych. Pomimo to coraz większa grupa wędkarzy z całego świata odwiedza kraj „down under”, aby zmierzyć się z ogromnymi pstrągami. Mi dane było łowić jedynie w jednym z regionów Wyspy Północnej, ale prawdziwym wyzwaniem pozostaje miejscami niemal dziewicza Wyspa Południowa. Gdy pierwszy raz wyładowałem w Auckland, w księgarni na lotnisku kupiłem przewodnik znanego miejscowego wędkarza, Johna Kenta po łowiskach północnej części kraju. Zgadnijcie, jaką książkę nabyłem przy wylocie?

Na koniec chciałbym serdecznie podziękować Jarkowi, bez którego ta podróż nie byłaby możliwa. Ale nie ciesz się. Ja tam jeszcze wrócę!





Historia jednego obrazu

Tekst: Przemek Lisowski

Zmierch zapadał szybko. Zupełnie jak w Polsce. Listopadowe niebo nad New Delhi pokryło się grubą warstwą chmur, które co kilka minut eksplodowały pajęczyną błyskawic. Powietrze natychmiast wypełniło się wirującymi na wietrze plastikowymi torbami, patykami, kawałkami trawy i wszelkiej maści śmieciami, które zazwyczaj spokojnie zalegają grubą warstwą na ulicach indyjskiej stolicy.

Szła burza. Najgorsza z możliwych, bo z południowego-zachodu, czyli od rajasthańskiej pustyni Thar. Niosła ze sobą tony czerwonych, maleńkich ziarenek pisku, który w ciągu kilku zbliżających się godzin miał spaść na New Delhi. Było słychać niemal ich fizyczny zgrzyt, gdy ocierały się o siebie w powietrzu. Zupełnie jak odgłos produkowany przez użębienie wędkarza po tygodniowej bezowocnej pogoni za lipieniem w wodach Dunajca... Indusi nie lubią takich burz. Ja też. Piach i kurz wciskają się w każdą, najmniejszą nawet szczelinę. Ale niosą też ze sobą ładunki elek-



tryczne, co powoduje iż atmosfera wśród zamieszkujących miasto istot dwónożnych staje się nerwowa, a niewielka wzajemna życzliwość spowodowana zapewne dość dużą konkurencją w czternastomilionowym stadzie, spada do poziomu zero.

Siedziałem sobie wygodnie w barze hotelu „Bristol” znajdującego się w Gurgaon, jednym z satelickich miast stolicy, obserwując przez okno całe to budzące podziw i grozę widowisko z perspektywy wygodnego barowego stołka. Przesiadywanie w barach jest nieodłącznie związane z pracą w Indiach, gdzie osoby umówione na spotkanie albo spóźniają się w nieskończoność, albo, co zdarza się równie często, zupełnie się nie pojawiają pod jakimś zupełnie idiotycznym i nieprawdopodobnym pretekstem, typu śmierć dwudziestego piątego dziadka w tym tygodniu, lądowanie latającego talerza w pobliskiej wsi czy zatrucie się pomidorami skażonymi po Czernobylu. Czekałem... Czekałem i coś tam popijałem. Popijałem i czekałem, gapiąc się na zewnątrz przez przeszkloną ścianę budynku. Zresztą „Hunter’s Bar”, nie tylko ze względu na moją przynależność do klanu „cichych wariatów”,

nie budził zainteresowania swoim wystrojem. Pomijając fakt, iż polowania są w Indiach całkowicie zakazane, co oczywiście nie jest przestrzegane przez różnorakie wybitne i ważne osobistości typu minister ds. śrub lewoskrętnych w rządzie stanu tego czy tamtego, lub aktor o tak precudnej urodzie, że nawet uprawianie seksu z Sandrą Bullock byłoby dla niego pokutą, to jeszcze miejsce raziło pretensjonalnością. Jakaś strzelba, gipsowy łeb jelenia / kto kiedykolwiek widział w lesie gipsowego jelenia?/, parę kretyńskich obrazków niby rodem z epoki Raju, czyli okresu panowania Brytyjczyków w Indiach i na tym kończyła się „myśliwskość” baru. Kanapek z kiełbasą myśliwską też, z wiadomych względów, nie serwowali...

Natomiast po spożyciu pewnej ilości tego co jednak bar serwował, poczułem się w obowiązku odwiedzić ulokowany na tym samym piętrze przybytek, gdzie nawet król zwykł chadzać piechotą. Bacząc aby nie wpaść w rozstawione myśliwskim zwyczajem na korytarzu potrzaski i wnyki, przemieściłem się przed drzwi oznaczone obrazkiem siusiającego chłopczyka. Otworzyłem je i ujrzałem, nie..., moim oczom objawiło się, nie..., zostałem olśniony przez coś, co spowodowało, iż mało nie popuściłem w pory zmagazynowanych przez ostatnią godzinę w moim organizmie wyrobów jednego z miejscowych browarów! Na wewnętrznej ścianie naprzeciwko drzwi do, nazwijmy to brutalnie ale po imieniu, hotelowego kibla, wisiało DZIEŁO SZTUKI!!! Gdyby dajmy na to taki Jan Matejko, był wędkarzem murowym, to z całą pewnością płótno wyszłoby spod Jego pędzla. Inna sprawa, że ze względu na zamiłowanie Mistrza do sporych formatów

pewnie by się w toalecie na którymś tam piętrze hotelu „Bristol” w Gurgaon nie zmieściło. Innym elementem, który łączył to zjawiskowe piękno z dziełami naszego Mistrza, była jego konwencja. Martwa natura. Wędkarska martwa natura! Zupełnie jak w „Bitwie pod Grunwaldem”, gdzie też uważny obserwator zauważy całą masę martwej natury, głównie krzyżackiej zresztą... Na moim obrazie, bo ani przez chwilę nie żywiłem złudzeń, że będzie on dłużej wisiał na swoim miejscu, widniało zdjęcie pięknej nakrapianej ryby wraz z jej dzielnym łowcą, jakiś przyczepiony do ściany wycinek z wędkarskiej gazety, rozsypane niedbale pstrągowe muchy, wędki, koszyk i wiele innych elementów muszkarckiego ekwipunku. I wszystko to w kiblu!!! Cóż za dyshonor?!

Przypomniawszy sobie po co się tu znalazłem, zrealizowałem tą część planu i rącho pognałem w drogę powrotną do baru. Tu złapałem za kłapy pierwszego kelnera, który miał nieszczęście się na mojej drodze nawinąć i poddawszy go krótkiemu, aczkolwiek brutalnemu przesłuchaniu, ustaliłem iż jedyną kompetentną w hotelu, jak mawiał Jacek Federowicz „wadzą”, jest pan manager, który o tej niechrześcijańskiej, uppps, niehinduistycznej porze już dawno cieszy się ciepłem domowego ogniska. Oczywiście w przenośni... Pobrałem więc od przerażonego barmana numer telefonu do hotelu i zapomniawszy o dalszym oczekiwaniu na umówioną osobę, która zresztą następnego dnia zadzwoniła do mnie przepaszając za nieobecność spowodowaną wysadzeniem w powietrze przez pakistański wywiad wiaduktu na drodze do hotelu, pogalopowałem do domciu.

Następnego dnia już od rana rozpocząłem żmudne nękanie dyrekcji hotelu telefonami. Po głosie moich rozmówców mogłem z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że za groma nie wiedzą o co chodzi temu „czubkowi” po drugiej stronie linii telefonicznej.

„Yes, sir. Obraz w toalecie? Doprav-

dy, sir? Tak, sprawdzimy, sir. Proszę zadzwonić za godzinę, sir”.

Oczywiście za godzinę miałem już na linii kolejnego, jeszcze ważniejszego managera i tłumaczenie zaczynało się od pojęć podstawowych: toaleta, obraz, wędka itp itd. Wreszcie „nasty” manager, który musiał już być naprawdę wybitnym managerem, z telefonem w dłoni udał się pod wskazany „adres” aby stwierdzić naocznie, cóż tak frapuje „sahiba” z pobliskiego Delhi. Cały czas udzielałem mu wskazówek jak ma podążyć, aby nie zgubił się w swoim własnym hotelu i aby dotarł do miejsca gdzie znajduje się TO. Wreszcie usłyszałem i po chwili dotarł do mnie głos pracownika hotelu:



„Sir, czy to ten obraz z rakieta tenisową?”

„Jaką rakieta...?”, wykrztusiłem, jednocześnie starając się zapanować nad uczuciem ogarniającej mnie paniki, iż oto ktoś inny, dowiedziawszy się o wiszącym sobie w tak ustronnym miejscu skarbie, podprowadził mi go sprzed nosa. I nagle spłynęło na mnie olśnienie!

„To nie rakieta, ty palancie” /to ostatnie w duchu/. „To podbierak!. Podbierak muchowy! Widzi pan, nawet nie wiecie co posiadacie...! Please, please, please. Ja chcę to mieć!”

Na nic się zdały tłumaczenia, że hotel nie sprzedaje elementów swojego wyposażenia i że jak gość hotelowy chce coś mieć na pamiątkę, to sobie to coś może kupić, ale w hotelowym sklepiu z suvenirami. Sir nie tylko

nie dawał się splawić, ale jeszcze zagroził, iż jeżeli obraz nie znajdzie się w jego posiadaniu w sposób legalny, to go najzwyczajniej w świecie z hotelowej toalety podwędzi... Słyszając, że łatwo się mnie nie pozbędzie, wybitny, acz wyraźnie zdesperowany już manager, rzucił jakąś okrutnie zaporową w jego mniemaniu, cenę, za którą ewentualnie dyrekcja hotelu byłaby gotowa rozważyć przekazanie prawa własności do tak intrygującego mnie przedmiotu. Oczywiście z miejsca się zgodziłem, co musiało wywołać u mojego rozmówcy niewielki szok, ale czego nie robi się w gorączce kolekcjonerskiej... Uzgodniliśmy, że przyjadę do „Bristolu” w najbliższą sobotę i spotkamy się o umówionej porze we wspomnianym „Hunter’s Bar”.

Dni mijaly wolno, ale doczekawszy się początku weekendu i zapakowawszy całą Rodzinkę do samochodu, aby wreszcie mogła zobaczyć obiekt przez który w ostatnich dniach tatuś i małżonek w jednej osobie zachowywał się tak jakby spadło mu na łeb pianino, udałem się w drogę do Gurgaon. Pędziłem jak wariat, łamiąc po drodze wszystkie możliwe, a także niemożliwe przepisy ruchu drogowego, które i tak nie są w Indiach przestrzegane. Miałem wrażenie że wszyscy lecą na złamanie karku do „Bristolu” aby wejść w posiadanie mojego obrazu! Ja jednak byłem pewien, że będzie on mój, móóóójjjj, móóóó...., mmm..... eeee..... W barze nie czekał na mnie wybitny manager, a miejsce w kibelku, gdzie jeszcze kilka dni temu wisiał „mroczny przedmiot mego pożądanego” zionęło pustką! Pustką tak beznadziejną jak zawartość większości naszych rzek pstrągowych. Zdrada!!! Z wywieszonym ozorem latałem po wszelkich możliwych zakamarkach hotelu szukając mojego kochanego wybitnego managera. Na próżno. Swoją bezładną płataninę przykułem jednak uwagę jakiegoś mniej wybitnego przedstawiciela managementu, który zapytał mnie wreszcie po jakimś czasie o spokój obsługi i nielicznych gości hotelowych. Gdy wyjawiałem mu cel mojej wizyty i cenę za jaką w swoim zaślepieniu zgodziłem się odkupić od jego firmy

intrygujący mnie malunek, rozmówca z miejsca został moim nowym najlepszym przyjacielem i zapragnął opylić mi połowę wyposażenia hotelowego.

„Sir, ten obraz którego szukasz, to był taki brzydki. Mamy wiele innych, znacznie ładniejszych i w równie przystępnych cenach... Spójrz na ten wiszący w recepcji. Jakież to piękny wielbłąd na rykowisku... O przepraszam, słoń na pastwisku... Może Sir zechciałby i naszą recepcjonistkę...?”
Wszystkie indyjskie słońce, wielbłądy i recepcjonistki były jednak dla mnie w tej chwili tak ważne jak wyniki sezonu karpiego w Hiszpanii sprzed 25 lat. Ja chciałem mój obraz!!!

Do domu wracałem w równie radosnym nastroju jak Napoleon spod Waterloo. „A to drań jeden. Zaraza. Opylił mój obrazek komuś innemu jak tylko dowiedział się ile to cacko jest warte. Przyjdzie mi umrzeć i nigdy go już nie zobaczę. Już nigdy...”. Tak sobie rozmyślałem przez resztę weekendu, którego jak zapewne słusznie zgadujecie nie zaliczę do najszczęśliwszych w moim życiu. Aż nastał poniedziałek, a z nim możliwość rzucenia się do gardła mojemu znieawidzonemu wybitnemu managerowi, sposoby zgładzenia którego analizowałem skrupulatnie przez poprzednie 48 godzin.

„Gdzie jest mój obraz?!” Zaryczałem w słuchawkę w śliczny poniedziałkowy poranek, gdy usłyszałem w niej głos mojego wroga numer jeden. Zresztą użycie telefonu było wybitnie symboliczne, gdyż mój dziki skowyt z całą pewnością było słycać w promieniu kilkudziesięciu kilometrów.

„Ależ sir, przecież jak tak długo i wytrwale na ciebie w sobotę czekałem”. Łgał jak z nut mój rozmówca, podczas gdy ja spokojniutko ostrzyłem siekierkę...

„Tak, moja ty ptaszyno? A gdzież to tak na mnie czekałeś?”

„Nooo, tego, w tym, tego, noooo...”

Płatał się w zeznaniach wybitny manager, podczas gdy ja przeszedłem

do przeglądu maczugi, którą zamierałem skruszyć na jego łepetynie...
„Imię, nazwisko, adres i numer komórki, proszę mi tu natychmiast”.
Wyrzyczałem w słuchawkę, nie przewijając rychtować dzidy... „I nie rozłączać mi się!”

Dopiero gdy wybrałem numer komórki nieszczęśnika i usłyszałem odgłos jej dzwonka w trzymanej słuchawce telefonu stacjonarnego, troszkę mu popofołgowałem.

„Tak więc, kiedy mój złoty będę mógł wpaść po MÓJ obraz?”

„Sir, kiedykolwiek tylko sobie zażydziesz”. Wyszeptał.

„Jadę do ciebie... Słyszysz? Zbliżam się! Nadchodzę!”

W słuchawce słycać było nerwowe przełykanie śliny i ciężki oddech wyraźnie przestraszonego rozmówcy.
Moja pielgrzymka do Gurgaon, była dla niego teraz tak miłą perspektywą i równie nieuchronną, jak nadejście końca jego własnych dni na tym łez padole. Jadąc kilkakrotnie zatrzymywałem się i dzwoniłem do mojej ofiary, aby przypadkiem nie zmieniła swojej lokalizacji. Że o lokalizacji mojego arcydzieła nie wspomnę.

Gdy zbliżyłem się do miejsca przeznaczenia w powietrzu było czuć strach. Cuchnął nim cały Gurgaon.

„To wybitny manager”. Pomyślałem. Ale jak na prawdziwego potwora muszkarskiego, zaślepionego kolekcjonerską pasją przystało, czy me nie uroniły łyzy. Wprost przeciwnie, serce przepęniała mi radość, jak ojcu który odnalazł ukochanego dziecko. Jak pastuszkowi, który oto właśnie wyrwał owieczkę z paszczy wstrętnego wilka. Jak urzędnikowi skarbowemu, który wynalazł 5-złotowy przekręt w dokumentach podatnika...

Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem. Był młody, średniego wzrostu, szczupły i wyprostowany.

„Nawet gość mile wygląda. Szkoda, że będę go musiał poddać najbar-

ziej wyszukany torturom świata”.

Małe czarne i czujne oczka świadczyły o stanie napięcia. Zdradzał go jednak stojący za nim, opakowany w bombelkowaną folię płaski, prostokątny przedmiot.

„Dobrze ci tak”. Pomyślałem. „Teraz się bój...”

Stałem sobie i patrzyłem. On też stał i patrzył. Wreszcie wystękał:

„Czy to ty, sir?”

„Tak to ja.”

„Ja... Ja bardzo cię przepraszam, ale...”

Widać było, że gorączkowo układa w małej, sprytniej główce kolejne wielkie i plugawe kłamstewko. Postanowiłem oszczędzić sobie tych historii o ataku roślin ludojadów i innych przeciwnościach, które to uniemożliwiły mu pojawienie się w „Hunter’s Bar” w ostatnią sobotę. Z natury jestem jednostką dobrotliwą i nie noszę długiego zawiści w sercu. No, najwyżej jakieś sześćdziesiąt lat...

„Jak ci synu na imię i skąd pochodzisz?”

Zagałem rozmowę. To zapewne bliskość realizacji mojego pragnienia spowodowała, iż żał mi się zrobiło mojego wybitnego managera i postanowiłem od tej pory być dla niego miły i uprzejmy.

„Jestem Rohit, sir. Jestem z Nahan w Himachal Pradesh”

„Ooo, znam to miejsce z moich wypraw wędkarskich. To piękne miasteczko”.

Powiedziałem. „Paskudna, zapyziała dziura”. Pomyślałem.

„Naprawdę, sir? To bardzo, bardzo historyczne miejsce. Mamy tam świątynie, mamy pałac, mamy...”

„A obrazów tam nie macie? Takich z raketami tenisowymi?”

Zagadnąłem, widząc iż zanoszą się na dłuższą prelekcję na temat lokalnych atrakcji.

„Nieeee, sir. Ale mamy tu jeden taki, który pewnie cię zainteresuje”.

Jego twarz rozjaśni uśmiech, który odsłonił dwa rzędy prześlicznych, białych zębisków. Tylko przez chwilę miałem ochotę mu w nie przyłożyć... Ale przecież mam być miły i przytulny jak miś pluszowy... W związku z tym także uszczęśliwiłem go widokiem swych, znacznie mniej widowskich kłó. Niemal zostaliśmy przyjaciółmi. Nawet zaryzykował zaproszenie mnie na lunch. Nawet zgodziłem się, ale po powrocie z Bangladeszu, do którego nawiasem mówiąc się wcale nie wybierałem. Pokazał mi zdjęcia swojej żony, dzieci, rodziców, psa i kota. Ja odwzajemniłem się pokazując mu plik rupiowych banknotów, kończąc tym samym tak familijnie zapowiadającą się sielankę.

„Oh tak, sir! Tu jest, czy mam go rozpakować?”

„Tak”. Dobrze pamiętałem moje indyjskie przygody z zakupami, które po usunięciu w domu opakowania, okazywały się być dokładnym zaprzeczeniem towaru, który pierwotnie zamierzałem nabyć. Na zasadzie: biały mebel – czarny mebel, rozmiar S – rozmiar XL itp. itd. W miarę jak Rohit ostrożnie usuwał folię, odsłaniając wnętrze opakowania, z jego środka zaczęła bić wielka jasność, która mogła pochodzić tylko od jednego, jedynego przedmiotu w całym Gurgaonie, ba w New Delhi całym!

„Mój Matejko, Kossak i Malczewski w jednym! Tak, w środku było to co przez tydzień spędzało mi sen z powiek, przez co moje ciśnienie wzrosło do poziomu 500/200 a uśmiech nie gościł na mej, za przeproszeniem, buzi. Moje ramiona rozwarły się w powitalnym geście, zupełnie jak kiedyś przy spotkaniu Breżniewa z innym przedstawicielem bardziej zaawansowanej technicznie i wiekowiej cywilizacji. Z miejsca runął w nie Rohit, którego musiałem przegonić, uświadamiając mu, że to nie jego chęć do serca przytulić. Był mój, tylko mój!”

„Już nigdy cię nie opuszczę... Już nigdy...”. Wszeptałem. Chyba rozumiejąc intymność sytuacji Rohin cichutko usunął się na bok. Podobnie uczyniło sześciuset innych pracowników hotelu, którzy zgromadzili się wokół, zwabieni brakiem innych lepszych zajęć. Atmosfera była podniosła jak w finale filmu wojennego rodem z Bollywood. Obsada: Rohit, obraz i ja.

Gdy piszę te słowa, wisi nad biurkiem na którym stoi komputer. Obok wygrzebanej na delhijskim bazarze Haus Khas szafki pomalowanej w pstrągi, bakelitowego kołowrotka ze Sri Lanki, figurki skaczącego pstrąga sprzedanego mi jako delfin w obozie uchodźców tybetańskich w Pokhra w Nepalu, flaszek whisky „Black Dog” opatrzonych rysunkiem łososiowej muchy o tej samej nazwie, oraz kilku

innych muszkarskich gadżetów. Jest piękny, zjawiskowy...

Ale wiem, że przede mną inne zwanie. W damskiej toalecie jednej z delhiskich dyskotek wisi zniewalająca rycina przedstawiająca dwóch wędkarzy podczas połowu łososi na muchę! Znowu w TOALECIE!!! I to damskiej! Pewnie zastanawiacie się co takiego robiłem w damskiej toalecie? No cóż, nie będę tego tłumaczył, przecież to muszkarskie forum....



Czarny Dunajec jest najdłuższym dopływem (a właściwie „twórcą”) Dunajca w jego początkowym biegu. Źródła Czarnego Dunajca znajdują się w Tatrach Zachodnich. Powstaje przez połączenie potoków „Kirowa Woda” i „Siwa Woda”. Następnie „ocierając” się o kotlinę Orawską i przecinając kotlinę Nowotarską łączy się w Nowym Targu z Białym Dunajcem tworząc właściwy nurt.

Pod względem wędkarskim interesuje nas od ujścia potoku Antałowskiego w miejscowości Witów, aż do połączenia z Białym Dunajcem w Nowym Targu. W swoim początkowym biegu płynie dosyć wąską doliną przelewając się poprzez naturalne progi i uskoki łupkowe stopniowo od miejscowości Koniówka wypływając na pokłady nanosowego materiału granitowego (otoczaki), by już przed miejscowością Czarny Dunajec płynąć całkowicie po drobnoziarnistych otoczakach w towarzystwie zarosła wiklinowych. Koryto rzeczne od miejscowości Koniówka jest miejscami regulowane poprzez opaski brzegowe i progi stabilizujące dno (Koniówka, Podczerwone, cały system progów w miejscowości Czarny Dunajec aż po Wróblówkę, dwa progi w Nowym Targu). Jeżeli chodzi o rybostan to jest to woda pstrąga i lipienia. Marginalnie w dolnym biegu występuje kleń i okoń. Tyle może ogólnych informacji.

Muchowy sezon wędkarski właściwie każdego roku zaczynam na odcinku od mostu drogowego na „Zakopiance” do połączenia z Białym Dunajcem. Jak tylko zjedzie pokrywa lodowa (a dzieje się to generalnie na przełomie luty/marzec) pstrąg potokowy zaczyna być aktywny, i to na tyle - by moją podstawową przynętą był duży srebrzysty streamer. Zawsze na początku sezonu ten odcinek jest stosunkowo zasobny w pstrąga potokowego. Jest to tzw odcinek „miejski” bo rzeka płynie przez środek Nowego Targu. Na tym odcinku mam trzy miejscówki, która z powodu daleko posuniętej regulacji brzegowej (opaski kamienne) są właściwie nie zmienne od lat.

Są to:

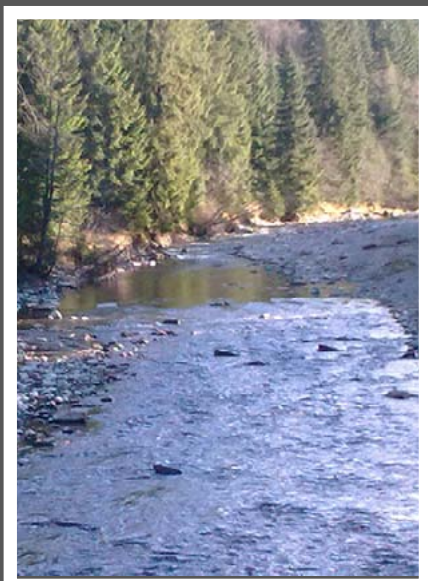
- płań na wprost Lodowiska
- stosunkowo szybka głębsza ryna poniżej mostu drogowego na Szpital – my mówimy że „koło Liceum”
- głęboka (ok. 1,5-2m) ryna przed samym połączeniem z białym Dunajcem

*Tekst: Janek Znaniec,
Zdjęcia: Ewa Kopta, Janek
Znaniec, Jerzy Paluch*

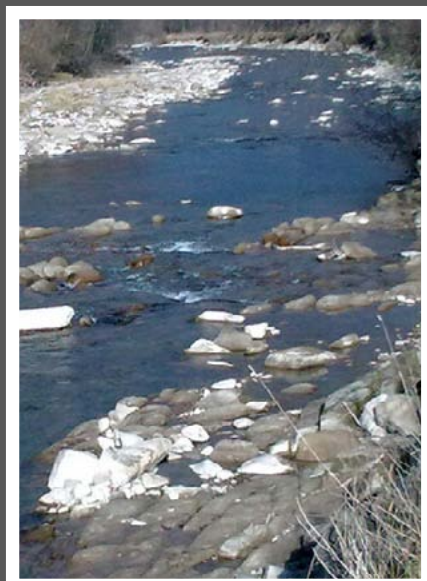
Czarny Dunajec

ostatnia ostoja dunajcowego lipienia

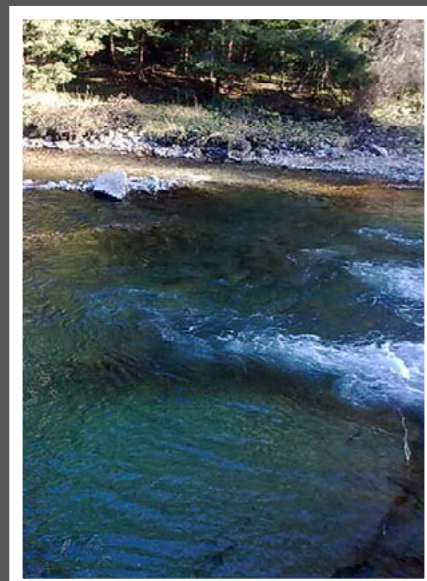




Witów



Chochołów



Witów

W dwóch pierwszych miejscówkach generalnie zdobyczą są pstrągi w granicach 25-35 cm - choć sporadycznie trafi się też czterdziestaczek. Łowiska te charakteryzują się specyficznym ukształtowaniem dna - głębsze rynny biegną wzdłuż brzegów umocnionych opaskami kamiennym, a środkiem rzeki jest wypłylenie. Ryby są ustawione w bezpośredniej bliskości opasek bardzo często znajdując schronienie pomiędzy co większymi opaskowymi głazami.

Trzecia miejscówka to stanowisko naprawdę grubych pstrągów, gdzie czterdziestak nie jest żadnym jakimś ewenementem. Zaczyna się szybkim i szerokim wlewem na wysokości ujścia kanału z tartaku wodnego szybko przechodząc głęboką i zwalnającą rynnę, po czym po ok. 50 m jest ujście Białego Dunajca i rynna rozszerza się w dość szeroką płań, ciągnącą się aż do progu regulacyjnego. Mimo że płań to już właściwy Dunajec, nie sposób jej wyłączyć przy omawianiu tej miejscówki. Dobrze widoczny nurt rzeki jest zlokalizowany przy samym prawym brzegu, po czym po przyjęciu wód Białego Dunajca nurt szerokim łukiem odbija na środek rozlewiska i wytraca swój impet. W tym miejscu rynna wypłyca się do głębokości 1m i rozdziela się na dwie rynienki przy-

brzeżne o podobnej głębokości przy 0.5 m głębokości wypłylenia biegnącego środkiem płani aż do samego progu. W rynnicy przy lewym brzegu jest głębokie zastoisko z wstecznymi prądami ciągnące się aż do zaniku nurtu na środku płani. Stanowiska pstrągów to przede wszystkim granica głównego nurtu i zastoiska oraz strefa wypłylenia się rynnicy po przyjęciu wód Białego Dunajca. W przybrzeżnych rynienkach w drugiej części płani też można trafić pstrągą, ale niezbyt wielkiego. Ewenementem jest występowanie na tej płani głowac (największa o jakiej słyszałem bodajże cztery lata temu miała 12 kg). Dodatkowo jako przyłów można tam trafić bardzo ładnego klenia (+40cm) i niezłą świnkę.

Dlaczego streamer, a nie inne metody? No cóż, po pierwsze to fakt, że bardzo lubię łowić na streamera. Po drugie to selektywność tej metody eliminująca brania bytujących tam w tym okresie ładnych lipieni.

Łowisko to odwiedzam gdzieś do końca marca bo później właściwie to nie ma tam czego szukać. Z pstrągów pozostają już tylko ok. 20cm maluchy, a duże lipienie gdzieś znikają. W właściwym sezonie lipieniowym, na tym odcinku konkretnego lipienia można złowić

tylko w bezpośredniej bliskości mostu na „Zakopiance” i na płani na wprost lodowiska. Małego lipienia (do 25-28 cm) jest dużo na całej długości. Odcinek ten z powodu swojej lokalizacji cechuje się wszechobecnym miejskim gwarem i polecam go tylko tym, którym takie warunki łowienia nie przeszkadzają. Mnie osobiście przeszkadzają bardzo, a łowię tam tylko dlatego, że mam pracę 100 m od rzeki i po pracy można w okresie zimowo/wiosennym wygospodarować 1-2 godziny na rozruszanie ręki z realną szansą na zobaczenie „rybiego ogona”.

No cóż, marzec się skończył i co dalej z Czarnym Dunajcem? W okresie kwiecień-czerwiec to rejon Czarnego Dunajca (miejscowości) i Wróblówki. Ten odcinek rzeki jest najbardziej uregulowany, głównie za pomocą progów stabilizacyjnych. Od Koniówki poprzez Podczerwone aż po sam początek Wróblówki rzeka jest poprzecinana progami z główną ich koncentracją w rejonie samej miejscowości Czarny Dunajec. Wyszczególnienie jakichś konkretnych miejscówek jest na tym odcinku rzeki bezcelowe. Po prostu, co próg to miejscówka. Konstrukcja progów jest taka sama jak i na Białym Dunajcu. Głębokość w klatkach jest różna – od 0,5 m do 1,5 m. Odcinki





Progi



Poniziej Wróblówki



pomiędzy progami też warte są uwagi z powodu wyłobionych w ich mało stabilnym żwirowym dnie głębszych rynien podchodzących pod pochylone wikliny. W moim odczuciu to woda pstrąga potokowego. Jest też pewna ilość lipienia, ale z powodu braku możliwości migracji tarłowych (progi) tworzą się niezbyt wielkie populacje stojące pomiędzy progami, podtrzymywane zarybieniami. Trzeba zaznaczyć, że odcinek od mostu w Koniówce do ujścia potoku Lepietnica jest obwarowany obostrzeniami regulaminowymi odnośnie wymiarów ochronnych pstrąga potokowego i lipienia (40 cm dla obydwu gatunków). Moim zdaniem: o ile pstrągi potokowe powyżej 40 cm na tym odcinku zdarzają się dosyć często, to w odniesieniu do lipienia jest to raczej „pobożne życzenie”. Nie mniej jest to łowisko bardzo ciekawe i warte odwiedzenia, a ryb około trzydziestocentymetrowych obydwu gatunków można trochę połowić. Na tym odcinku również efektywne są wszystkie techniki muchowe pod warunkiem dopasowania do zastanych warunków. W progach znakomicie sprawdza się krótka nimfa (prawie po wszystkich progach można spokojnie brodzić). Można też łowić na długą nimfę na sposób biało-dunajcowy. Sprawdza się też prowadzony na ciężkiej lince

streamer. Pomiedzy progami najefektywniejsza jest mokra mucha, dobrze sprawdza się też sucha pod warunkiem widocznej aktywności ryb. Krótka nimfa jest przydatna przy obławianiu głębszych (powyżej 1m) rynienek. Streamer prowadzony na wolno tonącej lince też może przynieść sukcesy. Przynęty nie odbiegają od ogólnie stosowanych w dorzeczu górnego Dunajca. Są to imitacje różnych stadiów chruścików i jętek. Ze streamerów to raczej ciemne pijawki. Oczywiście skuteczna jest również... glajcha. W Czarnym Dunajcu nie zauważyłem nigdy kielża, jednakże czasami dobre efekty można uzyskać na jego pomarańczowe imitacje (szczególnie przy lekko trąconej wodzie).

Przejdźmy do następnego odcinka rzeki – od Wróblówki do mostu drogowego na „Zakopiance”. Ze względu na charakter wody odcinek ten traktuję jako całość mimo wyróżnienia w nim odcinka „Złów i wpuść” (od ujścia potoku Lepietnica do mostu drogowego na Zakopiance).

Po minięciu miejscowości Wróblówka przez dłuższy czas rzeka płynie całkowicie nieuregulowanym korytem, tworząc obiecujące podmycia brzegowe i bystre prądziki. Po

wpłynięciu na tereny zabudowane, regulacje są ograniczone do opasek brzegowych zamaskowanych wikliną i trawami. Wioski położone są w pewnej odległości od koryta i prawie zawsze zamaskowane zarostami wiklinowymi. Rzeka płynie tu wartkimi raczej równymi rynnami przechodzącymi w płytkie rozlewiska, rozdzielone szerokimi i płytkimi „zejściami”. Czasem napotykamy też głębsze doły – szczególnie na zakrętach lub w sąsiedztwie zniszczonych ostróg. Dno prawie cały czas to gruby żwir z ławicami granitowego piasku. Również na tym odcinku nie wyróżniam jakichś specjalnych miejscówek. Z powodu mało stabilnego dna rynienka z przed miesiąca może „dzisiaj” być żwirowo-piaszczystym wymiarem. Każda większa woda powoduje mniejsze lub większe zmiany w korycie rzeki. Traktuję to łowisko turystycznie – tzn. niespieszny spacer z systematycznym obławianiem mijanych miejsc. Odcinek ten to niewątpliwe królestwo lipienia. Jest go naprawdę dużo, choć przeważają osobniki z przedziału 25-28 cm. Generalnie im niżej tym wzrasta szansa na spotyknięcie większej ryby, choć magiczne 40 cm w dalszym ciągu pozostaje raczej..... magiczne. Pojedyncze sztuki tej wielkości można spotkać w końcowej części odcinka „Złów i wy-

puść". Pstrąg potokowy w dalszym ciągu jest właściwie przyłowem (jeżeli nie liczyć 20cm strzelców), sytuacja tego gatunku poprawia się również w dolnej części odcinka specjalnego. Dla mnie omawiany kawałek rzeki to późne lato i jesień..... to delikatne wędkowanie na suchą muszkę lub malutkie pedałki z klasycznym (linkowym) zestawem do mokrej muchy. Przy jako takiej aktywności ryb zabawa jest przednia. W końcówce lata skuteczne są chrustopodobne „surcharki” w raczej ciemnych kolorystykach tułowia w wielkościach 12-14. Koniec września i październik to imitacje różnych jętek rojących

się nad wodą. Kolorystykę trzeba dobrać w zależności od owadów spotkanych nad wodą, ale w tym okresie przeważają oliwkowe jęteczki. Czasami skutecznym sposobem na dobranie się do większego lipienia wśród żerującej młodzieży to podanie ciemnego chruścika (tułów z pawia lub sterówki bażanta diamentowego) CDC w wielkości 16-18. Pedałki w wielkościach 14-18 też w raczej ciemnej tonacji z dodatkiem jakiegoś wabiącego elementu (np. złota przewijka, pomarańczowa pochewka lub kołnierzyk, czerwona końcówka odwłoczka itp.) Z elementami wabiącym trzeba uważać, aby nie przedobrzyć

– lipienie z Czarnego Dunajca nie zbyt przepadają za „oszołomami”. Oczywiście i metoda krótkiej nimfy też jest skuteczna, ale rezerwuję ją na głębsze dołki i rynny przy braku aktywności powierzchniowej ryb.

No cóż, przeleciałem przez cały sezon muchowy na Czarnym Dunajcu, a tu ani słowa o górnej (powyżej Koniówki) jego części. Przyznam się szczerze, że bywam tam raczej rzadko, a i to tylko przy okazji jakichś inny załatwianych na tym terenie spraw. Jest to woda wyłącznie pstrągowa. Populacja pstrąga jest tam dosyć obfita, lecz głównie są to ryby w wielkościach



20-25 cm. Owszem, czasami z całego tego drobiazgu udawało mi się wyłuskać jakąś rybę nawet powyżej 30 cm, ale to były dosyć sporadyczne przypadki.

Podsumowując: Czarny Dunajec jako łowisko lipieniowe jest w chwili obecnej najlepszą wodą w zlewni górnego Dunajca. Jest trochę zastanawiające, dlaczego w tej rzece każdego roku dominują ryby z przedziału 25-28 cm, a większe w stosunku do ilości tych ryb zdarzają się rzadko. Kłusownictwem tego zjawiska nie można wytłumaczyć, dla kłusownika 25 cm rybki są w pełni konsumpcyjne. Biorąc pod uwagę, że czarnodunajeckie lipienie to ryby szczuplutkie można by podejrzewać istnienie zbyt ubogiej bazy pokarmowej. Jeżeli chodzi o pstrąga potokowego to tu jego zni-

kome ilości są ewidentnie efektem działalności kłusowniczej. Stosunkowo duża populacja rybek do 20 cm, a potem to już jakieś niedobitki. Szkoda, bo biorąc pod uwagę ilość siedlisk dla naprawdę dużych pstrągów potencjał Czarnego Dunajca w odniesieniu do tego gatunku jest duży. Planując wyprawę na tę rzekę trzeba brać pod uwagę, że jest ona najwolniej czyszczącą się po opadach z całej zlewni górnego Dunajca. Nie dotyczy to jego górnego biegu (który, jak to w przypadku potoków górskich, czyści się błyskawicznie) ale środkowego i dolnego. Trzeba też rozróżnić wodę brudną od wody brązowej. W pobliżu koryta rzeki znajdują się co najmniej dwa większe obszary torfowe (Czarny Dunajec-Baligówka i Bór kolo Ludźmierza). Torfowiska te powodują czasami podbarwienie

wody w rzece na kolor herbaciany. Mimo tego koloru jest ona przezroczysta i w niczym nie wpływa na efektywność łowienia. Wpływem tychże torfowisk jak i spływem roztopowych wód z rejonu miasta Nowy Targ tłumaczą sobie również tak wczesną aktywność pstrągów na pierwszym z omawianych przeze mnie odcinków tej rzeki. Celowo nie podałem też jakichś szczególnie łownych wzorów much na tą rzekę, bo..... takie nie istnieją. Generalnie (poza jakimiś szczególnymi przypadkami) na wszystkich wodach górnego Dunajca sprawdzają się takie same wzory, jest tylko kwestia wielkości, wagi i czasu ich zastosowania, a te kwestie wynikają z własnych obserwacji bezpośrednio nad wodą.



Sudecka jesień

część 2

Okaleczona piękność



Biała Łądecka, to rzeka, którą darzę szczególnym sentymentem. Urokliwa, chociaż w dużej części płynąca przez tereny zurbanizowane. Najbardziej „górska” ze wszystkich rzek Kotliny Kłodzkiej, oferuje wędkarzowi i „dunajskie”, wartkie szypoty i spokojne, rozlane płanie. I chociaż okazowych lipieni tutaj nie złowimy, to warto krótki, listopadowy dzień poświęcić tej rzece.

: Odcinek na którym możemy łowić
: w miesiącach późnojesiennych roz-
: poczyna się przy moście koło „ho-
: dowli” w Radochowie. Powyżej, w
: okolicach Łądka Zdroju i Stronia
: Śląskiego, gospodarujący na tej
: rzece okręg wałbrzyski, wprowadził
: całkowity zakaz połowu, w czasie
: okresu ochronnego potokowca. To
: słuszne pociągnięcie zważywszy,
: że w górnej części „Białki” domi-
: nuje pstrąg, a lipień jest niezwykle
: rzadkim gościem na naszych węd-
: kach. Ale i tak mamy do dyspozycji
: dobrych kilkadziesiąt kilometrów
: rzeki, ponieważ możemy łowić aż
: do Krosnowic, gdzie Białka kończy
: swój bieg, głęboką rynną wlewając
: się do Nysy Kłodzkiej. Sama Nysa
: jest też ciekawym łowiskiem, ale
: o niej napiszę w kolejnym odcinku
: „sudeckiej sagi”.

: Swoją nazwę zawdzięcza Biał-
: ka krystalicznej wodzie, przele-
: wającej się po różnokolorowych
: kamieniach. I chociaż typowych
: otoczków tutaj nie znajdziemy,
: to trafiają się odcinki budzące sko-
: jarzenia z wyściółką dna Dunaj-
: ca czy Białki Tatrzańskiej. Z kole-
: - nierazko spotkamy całkowicie
: odmienne od nich, ciemne, prawie
: czarne fragmenty dna, utworzone z
: jakby zastygłej, wulkanicznej lawy.





Zdarzają się również, choć nie tak często, połacie dna wyłożone grubym żwirem. Ten urozmaicony, nie spotykany w innych rzekach rodzaj formacji skalnych, działa jak swoisty filtr, co powoduje błyskawiczne czyszczenie się rzeki po gwałtownych opadach. To kolejna, znacząca zaleta tej rzeki.

Tegoroczna wielka woda, przecho-
dząca przez Kotlinę kilkakrotnie, nie oszczędziła również i Białki. Skutki powodzi widać gołym okiem: brzegi zryte koparkami, w wielu miejscach koryto wyrównane, sprowadzone do poziomu pasa startowego. Szkoda, że gospodarz rzeki nie stanął na wysokości zadania i nie dogadał się z wykonawcą tych robót w kwestii zachowania naturalnej linii brzegowej. Na szczęście, jako umocnienia podmytych brzegów, nie pojawił się jak to ongiś bywało, beton, ale opaski z głazów skalnych. Jest więc nadzieja, że za kilka lat rzeka sama w dużym stopniu się znaturalizuje. Tym bardziej, że istniejące już, często poniekie murki oporowe wrosły jakby w nadrzeczny pejzaż i nie rażą tak strasznie jak np. progi na Wiśle.

Niestety, podobnie jak i w całej Polsce, również i tu powódź wyrządziła olbrzymie straty w populacji lipieni. „Thymallusy” o wiele gorzej sobie radzą w tak ekstremalnych warunkach niż pstrągi. Potwierdzają to wyniki aktualnych połowów. Dość powiedzieć, że na kilkanaście złowionych rybek trafia się jeden, dwa, góra trzy lipienie, a reszta to pstrągi i to o niezbyt imponujących rozmiarach. Niepokojący jest również fakt, że nie łowi się praktycznie małych lipionków, co źle wróży na kolejne lata. Piszę o tym dlatego, aby uzmysłowić wszystkim muszkarzom, którzy zawitają nad tę przepiękną rzeczkę, że w chwili obecnej zabicie nawet jednego lipienia byłoby po prostu zbrodnią.

Czy, mając powyższe na uwadze, powinno się pisać gdzie i jak łowić białczańskie „tymianki”? Wierzę, że czytelnicy „Flysportu” to ludzie myślący i nie potraktują tego tekstu jako recepty na łatwiejsze zapełnienie koszyka. Zatem, nastawiając

się na lipienie udajemy się raczej w dolne partie rzeki. Są to okolice Trzebieszowic, Ołdrzychowic i Żelazna. Zresztą – wzdłuż rzeki biegnie droga 392 Łądek Zdrój – Żelazno i dalej do Kłodzka. Jadąc nią możemy praktycznie zza szyby wybrać dowolne miejsce do wędkowania.

Ryb o tej porze roku szukamy w głębszych dołkach, zwolnieniach i na płaniach. Tu uwaga: głębokość we wspomnianych wcześniej miejscówkach z czarną, „wulkaniczną” skałą może nas mylić – są generalnie o wiele płytsze niż się to w pierwszej chwili wydaje. I generalnie - łatwiej tam trafić będącego akurat w okresie ochronnym potoka niż lipienia. Szczególnie teraz, późną jesienią. Z tego samego powodu należy również omijać krótkie, głębokie dołki z dużymi kamieniami, a zwłaszcza ich strefę zanurtowej, głębszej wody.

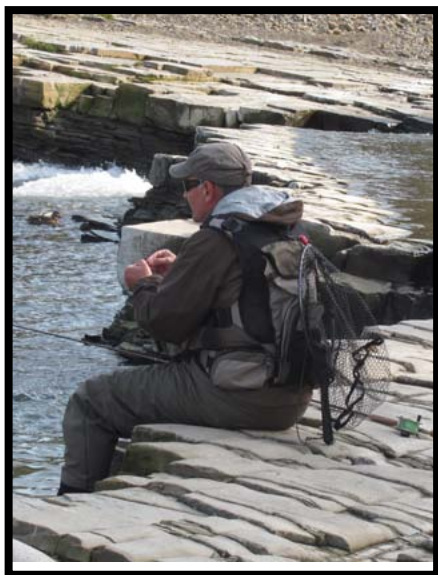
Przy niżówce wiążemy nimfy w wielkościach 14 – 16, jeśli woda jest wyższa: 10 – 12. Sprawdzą się nam wszelkie, ogólnie znane wzory: brązki, quille, „zajączki” i skórzaki. Z tych ostatnich można w ciemno polecieć te, które barwią się na ciepłe kolory: róż, pomarańcz, a nawet czerwień. Około południa, zwłaszcza, jeśli trafimy na słoneczny dzień, warto zawiązać suchą oliwkę lub popielatkę w wielkościach 18 – 20. Mimo czystości wody tutaj lipienie nie są specjalnie wybredne i właściwie zaprezentowana sucha mucha z pewnością przyniesie sukces. A w obecnej sytuacji będzie nim złowienie (i wypuszczenie, mam nadzieję) już trzech, czterech lipieni podczas krótkiej, listopadowej wyprawy. Przynajmniej do czasu, kiedy ta piękna, okaleczona rzeka zablizni swoje rany.



Oczyszczenie

Tekst: Jerzy Paluch Zdjęcia: Ewa Kopta

Rywalizacja sportowa, to pełny stres dotykający bardziej lub mniej wszystkich startujących zawodników. Ci którzy chcą odpocząć, powinni wybrać się na indywidualną lub grupową wyprawę. Powinni poszukać takiego miejsca gdzie nie dominuje gwałtowność i miejski stres.



Sezon sportowy już za nami. Ostatnie jego podrygi w postaci towarzyskich lub okręgowych „spotkań” mamy już za sobą. Czas na kąpiel umysłu, analizę swoich błędów, weryfikację lepszych lub gorszych znajomości, relaks.

Nie ma lepszego miejsca na aktywny odpoczynek, jak rybna, czysta woda z górami w tle. Czyściec ma postać górskiej rzeki w naturalnym jej biegu z ciszą i kolorami jesieni. Mimo tego, że ciągle wracają wspomnienia z całego sezonu, podążamy w stronę lipieniowego letargu. Zwalniamy.

Nasze ruchy nie muszą być już takie szybkie. Mamy czas na rozejrzenie się po wodzie, na samotny spacer wzdłuż brzegu, na wybranie jednego pięknego miejsca w jakim może stać ryba. Przysiadam sobie na kamieniach, montuję przypon, jeden raz, drugi i nie spieszę się zbytnio.

Po chwili zadowolony z tej kombinacji, wrzucam muchy i powolnym krokiem wędruję w dół rzeki. Czerpię w tych dniach przyjemność z samego pobytu w górach. Wiem, że mam szansę na spotkanie innych kolegów, którzy być może też oczekują od relacji człowiek-ryby-środowisko czegoś innego, mniej stresującego, niż start w zawodach. Spotkani wędkarze, chętnie wymieniają informacje na temat wody, przynęt. Są zrelaksowani i szukają odpoczynku. Wszyscy w tym zwalnającym biegu za rybami, odpoczywamy. I robimy zdjęcia.

Już po chwili, jesteśmy w dwójkę. Rozmawiamy ze spotkanym Szymonem o wszystkim co związane jest z



naszym sportem i naszymi indywidualnymi przedsięwzięciami. W kilka minut jest już nas trzech (Kane), później czterech (Paweł). Wszyscy podążamy w dół rzeki, wolniej lub szybciej obławiając czyste progi.

W trakcie takich rozmów, zawsze zwracam uwagę w jak odmienny sposób uzewnętrzniamy swoje emocje wędkarskie. Łowimy niedaleko od siebie, na tej samej rzece w tych samych warunkach, jednak w jakże odmiennym rytmie. Różnice widać w samej technice łowienia, sprzęcie jaki stosujemy, jak i również w reakcji na emocjonujące sytuacje. Jedni przyjmują takie momenty spokojnie, inni z niespotykaną euforią. A dobrym przykładem takiej pozytywnej, prawdziwej, szalonej emocji jest Kane...

Kane, jego Winston i miedziany Ross. Trzeba to zobaczyć. Tą pasję w oczach i radość z każdego brania, każdej wyciągniętej ryby. Kane łowił z nami po kilkudniowym pobycie na tej rzece i jego opowieści o tym to spotkało go w trakcie wyprawy wędkarskiej zrobiło na nas wszystkich

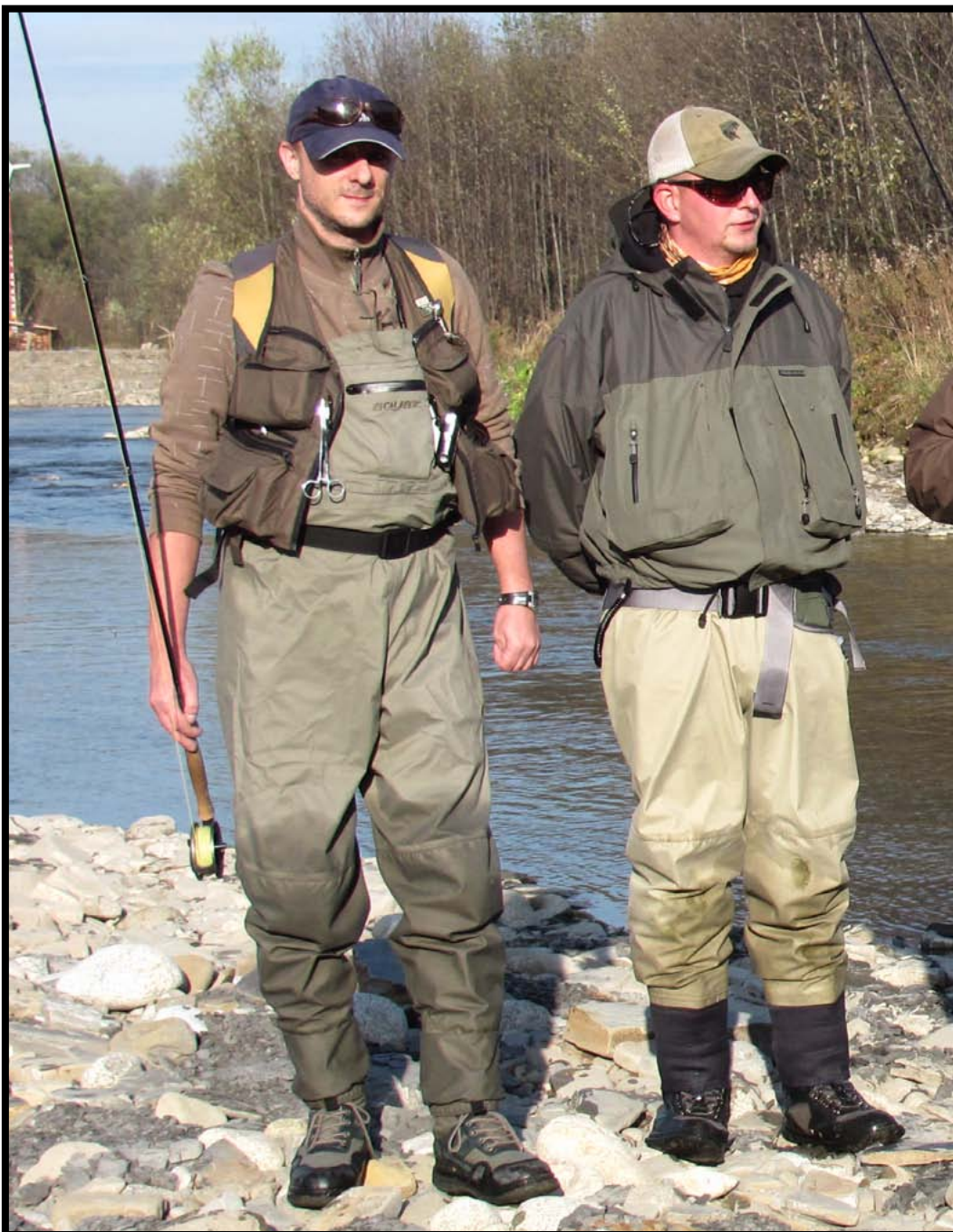




• kutowaliśmy nad zestawem much • Franka i naszymi lekkimi nimfkami. • Co jest skuteczniejsze. W jakim ko- • lorze z główką czy bez. Oczywiście • śmiechu było dużo, a nikt nie chował • swoich much do pudełka tylko raczej • dzielił się swoimi wzorami z pozosta- • łymi kolegami. • Jesień i lipienie. Najbardziej lubię ten • okres. W dużych lipieniach nie ma tej • agresywności, zachłanności, gwałtu. • Są powolne, a jednak silne. Świa- • dome swojego piękna i wartości. • Kwintesencją ich połowu jest stosowa- • nie suchej muchy. Jednak są dni, • kiedy ryby trzymają się raczej dna, • a śnieg w górach mrozi wodę w ta- • kim stopniu, że pozostaje nam tylko • kilkadziesiąt minut na wykorzystanie • prawdziwego żerowania. • Czekać na te chwile, uzbrajam ze- • staw do nimfy i łowię na coraz mniej- • sze przynęty. Lekko, delikatnie. Róż- • nicuję ciężar much, zmieniam zestaw • dostosowując długość przyponu do • głębokości wody. Czekam na drgnię- • cie zestawu, lekkie jego zatrzymanie. • Nie ma mowy o zdecydowanym bra- • niu, szarpnięciu czy odjeździe linki. • Jesienny lipień jest delikatny, bierze

duże wrażenie. Nie chodziło tu o wielkość ryb jakie łowił, ale o same emocje. Niespotykane, prawdziwe muszkarstwo.

Grupowe łowienie to również coś odmiennego od naszych indywidualnych spotkań na zawodach. Jest czas na wymianę much i podziwianie swoich własnych połowów. Właśnie w momencie kiedy robiliśmy zdjęcie temu lipieniowi pojawił się Franek i od tej pory już wszyscy razem dys-



przynętę lekko i mało zdecydowanie. Ale jest gruby, nabrał już wagi i jak tylko uda nam się go zaciąć pokazuje swoją moc, gnąc miękki kij #4 do granic wytrzymałości.

W tych dniach w moim pudełku dominują małe nimfy na hakach #16-20. Kolega pokazał mi jednak jedną ze skuteczniejszych muszek na ten okres, wspominając jednocześnie, że prowadzić ją należy tak głęboko jak to możliwe. Schowałem ją głęboko w pudełku. Zrobię kilkanaście takich muszek i je sprawdzimy.

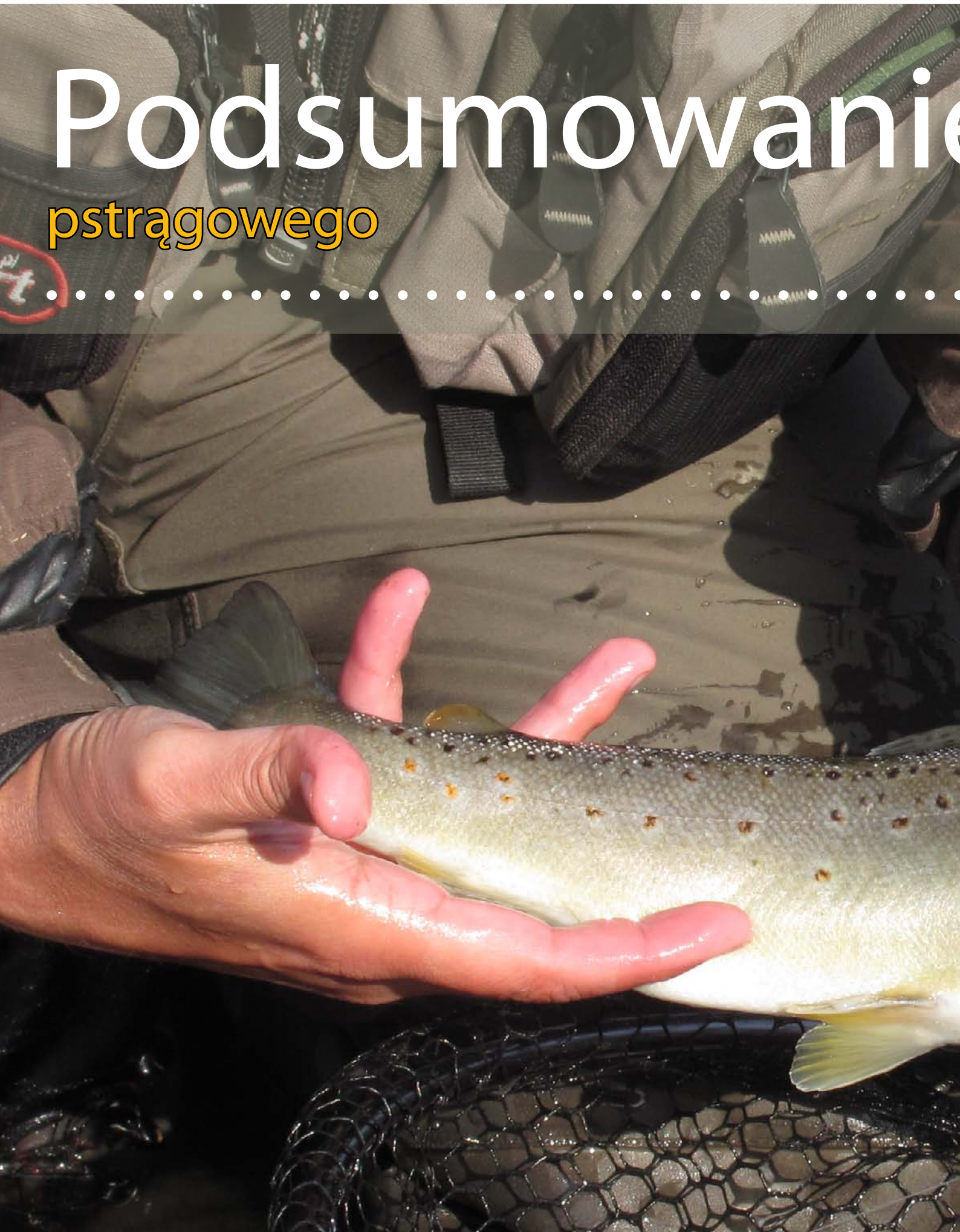
Taka wyprawa, w tak dobrym towarzystwie jest jak rozgrzeszenie. Od pełnionych w sezonie błędów, grzechów przeszłości, naszej niecierpliwości czy zaniedbania. Dlatego polecam Wam jesienne

łowienie. Jesienią możemy tego się spodziewać. Gromady kolegów, lipieni, czystej niskiej górskiej wody i darów od naszego środowiska. Oczyszczenia.



Podsumowanie

pstrągowego



e sezonu

Sezon pstrągowy właśnie się skończył. Poniżej możecie przeczytać krótkie podsumowania sezonu napisane przez muszkarzy z różnych stron naszego kraju. Można na tej podstawie wyciągnąć jakieś wnioski. Można pokusić się o podsumowania i porównania, jednak czytając te relacje nie zapomnijmy o tegorocznych ulewach, powodziach i w sumie bardzo krótkim sezonie pstrągowym.



Józef Zając

Oto kilka pytań zadanych naszym kolegom:

1/ Jak ogólnie oceniasz miniony sezon połowu pstrąga potokowego?

2/ Jakie muchy okazały się być w 2010 roku najlepsze?

3/ Największe rozczarowanie?

4/ Największa ryba?

Zdjęcia: Sebastian Ruszkiewicz, Janusz Panicz, Adam Sujka, Szymon Madejczyk, redakcja

No cóż - bywało lepiej. Ilościowo - troszkę potoków zaliczyłem. Jakościowo - to już troszkę gorzej. Lubię poznawać nowe łowiska, toteż bardzo miłe wspominałem wiosenne łowienie na Mszance.

Nie było jakichś szczególnych wynalazków. Ze streamerów (jakoś tak wyszło, że rzadko tą metodą łowiłem) stosowałem „klasyczne” zonkery i pijawki, z nimf brązki, zające, mokre – MB.

Puchar Wisły. Walczyliśmy o powrót tych zawodów do kalendarza GP. Niestety, nie trafiony termin zawodów i za duża jak na możliwości Wisły i Brennicy ilość zawodników spowodowały, że były to zawody wielce loteryjne.

Nie mierzyłem, więc nie podam dokładnych wymiarów. Były pstrągi ok. 50 cm - jeden złowiony na potrzeby tekstu do Flysportu w małym ciurku na dużą mokrą muchę i drugi, na pedałka z długiej linki, w bani, na drugim zakręcie poniżej Leska w Sanie. Również w Sanie, w czasie treningu przed MMP siadł mi piękny lipień, na pewno powyżej 45 cm.



Janusz Panicz

Co do OS San, uważam, że ten sezon był najlepszym od 2 lat. Nawet pomimo powodzi i plagi kormoranów zimą, pstrągów było bardzo dużo, chociaż nie udało mi się w tym roku złowić tych dużych 60-70cm. Wbrew pozorom najlepszym okresem na łowienie pstrągów, poza zimą, było 2 tygodnie po powodzi, kiedy woda się oczyściła, a jej poziom ustabilizował, pstrągi żerowały bardzo intensywnie. Niestety z czasem z ich żerowaniem było coraz gorzej, a pod koniec wakacji złapać dużego pstrąga było trudno.

W zimie najlepiej łowiło mi się na strimera i pijawki koloru brązowego i czarnego na hakach #6. Wiosną i latem najsukuteczniejsze były w moim przypadku plecionki, kielże i glajchy. Wszystkie nimfy, ze względu na wysoką wodę, mocno dociążone. Niestety nie połowiłem w tym sezonie pstrągów na suchą muchę, a

szkoda, bo jest to moja ulubiona metoda. Rójki chruścików było bardzo rzadkie i mało intensywne. Bodaj dwa razy przez cały sezon miałem okazję łowić na suche imitacje chruścika, lecz wyniki były dużo słabsze niż w poprzednich latach.

Największy złapany przeze mnie w tym roku pstrąg mierzył 55 cm. Połów miał miejsce w maju. Ryba skusiła się na kielża wykonanego na haku #10 z dubbingu o intensywnym, niemal czerwonym kolorze.



Przemek Lisowski

Najlepsze okresy połowu pstrąga potokowego na Białostocczyźnie to wczesna wiosna i okres rójki majowej. Niestety sezon 2010 uznaję za bardzo słaby, na co wpływ miała długa zima i liczne załamania pogody w okresie rójki „majówki”. Później praktycznie wszystkie nasze rzeki silnie zarastają roślinnością wodną i połów pstrągów na muchę staje się wyzwaniem „tylko dla orłów”. Na dość kiepskie wyniki na niektórych rzekach naszego regionu wpływ miała także przyducha, która dotknęła głównie Sokołdę w 2009 roku. Ciężko jest oszacować straty, ale pomimo tego że część ryb przetrwała okres braku tlenu w wodzie głównej rzeki w dopływach, spadek liczebności „potokowców” był w ostatnim sezonie w tej rzece bardzo widoczny. Największym zaskoczeniem „in plus” była jednak Czarna Hańcza, która wyraźnie odradza się po przejęciu rzeki przez ZO PZW w Białymstoku. Zmasowane zarybienia, akcje znakowania rzeki i ochrona przynoszą stale pozytywne rezultaty. Niemniej jeszcze dużo wody upłynie zanim rzeka odzyska dawną świetność. Tu wielkiej rewolucji nie było. Moja prywatna lista przebojów jest zdominowana przez różne rodzaje streamerów. Absolutnie nie są to

jakiegokolwiek katalogowe modele, lecz luźne „wariacje”, obracające się głównie wokół „Muddler Minnow”. Skrzydła z piór indyka zastępowałem często mieszanką kolorystyczną piór siodłowych koguta, według prostej zasady: bardziej jaskrawy kolor (np. pomarańcz lub purpura) przykrywana była klasycznym piórem w odcieniu grizzly, czy budger. Na Supraśli i Sokołdzie jak zwykle sprawdziły się „gumkowce”. Najlepiej w jaskrawą, pomarańczową główką. Generalnie ze względu na dość wolny uciąg naszych rzek od lat stosuję raczej mocno bogate streamery.

Jeśli chodzi o suchą muchę, to czym była większa, tym lepsza. Tu też, zresztą przełomu nie było. W naszych rzekach na „suchara” łowimy głównie latem. Jest to dość specyficzny styl łowienia i nie jest tu miejsce i czas aby go omawiać. Niemniej obowiązuje zasada, iż mucha musi niemal „łupnąć” o powierzchnię wody. Dlaczego? A, to już temat na inne opowiadanie.

Wyniki na niektórych rzekach po ubiegłorocznej przyduście. A było już tak pięknie..:-) Na drugim miejscu w tej klasyfikacji muszę niestety ująć swoje wyniki na naszych „flagowych”

rzekach Południa – Sanie i Dunajcu. Szczególnie ten drugi, po niesamowitych „potokowcach”, którymi obdarzył mnie w poprzednim sezonie, rozbudził nadzieje na „powtórkę z rozrywki”. Niestety, było dużo, dużo gorzej. Tu winna była nie przyducha, a wysoka woda, która zapewne poniosła rybki w siną dal.

Przez prawie cały sezon uganiałem się bezskutecznie za jakimś godnym okazem naszego ulubionego, kropkowanego gatunku. San, Dunajec, Czarna Hańcza, Rospuda, Supraśl, Sokołda, Nietupa, Łososina. Żadna z tych rzek nie obdarzyła mnie jakimś znaczącym pstrągiem. A naprawdę starałem się! Twarz uratowałem dopiero na jednym z ostatnich sierpniowych wyjazdów. W sumie była to dość ciekawa sprawa, gdyż od samego ranka „pałowałem” kilka rzek, ale rezultaty były mizerne. Dopiero na dopływie Supraśli, który zostawiłem sobie „na deser”, niemal w samo południe przy okrutnej sierpniowej „lampie” wyciągnąłem na suchego chrusta 3 piękne potokowce. Najmniejszy z nich miał 37 cm, zaś największa ryba była długa na 51 cm.

I był to mój najładniejszy pstrąg w ubiegłym sezonie.



Franeł Sikoń

Osobiście jestem bardzo zadowolony, przetruciałem masę ryb, ale mam lekki niedosyt bo słabo połowiłem na suchą muchę, którą uwielbiam. Wpływ na to miała niestety natura, powódzie które nawiedziły Podhale, a także moje łowisko Biały Dunajec. Pobitem własny rekord pstrąga potokowego, a najważniejsze jest to, że poznałem całą masę ludzi pozytywnie zakręconych z którymi porozmawiałem, podzieliłem się problemami i uzyskałem ogromną ilość cennych rad dotyczących sposobów ochrony łowiska. Za to jestem wszystkim zobowiązany i wdzięczny.

Jakie muchy? Na to pytanie trudno mi odpowiedzieć. Killerem lata była czarna muszka z białymi skrzydełkami, przytapiana na haczyku 16 lub 18. Druga była nimfa też bez nazwy ponieważ jest to moja wersja: zielona lub brązowa z pakunkiem na grzbiecie na haczykach 14, 16, 18 i jesienią na 20.

Rozczarowanie i osobista porażka to odrzucenie przez Zarząd Okręgu Nowy Sącz projektu utworzenia na Białym Dunajcu łowiska NO KILL w które włożyliśmy masę pracy i czasu.

Największą rybą był pstrąg potokowy 52 cm, który wrócił do wody i mam nadzieję, że teraz się wyciera. Mam nadzieję, że za kilka lat zobaczę jego potomstwo, których złowienie przyniesie mi tyle samo radości i adrenaliny.



Szymon Madejczyk

Raczej bardzo słabo. I nie chodzi mi tutaj tylko o warunki pogodowe. Z roku na rok w wielu rzekach jest coraz mniej ryby.

Nimfa: jig, zajęcze ucho, dyskotka, glajcha. Sucha: kremowa i szara sieczka. Streamer: biały puchowiec z czerwonym koralikiem oraz czarny z pomarańczowym koralikiem.

Największe rozczarowanie: to zawody na Sanie...

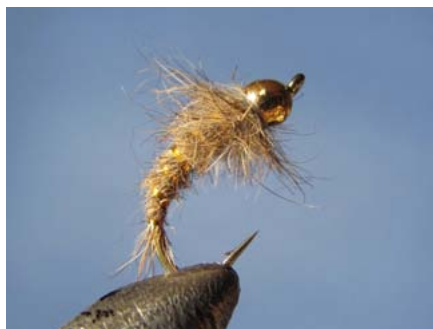
Największa ryba to pstrąg potokowy 54 cm.

Poniżej moje muchy:

Brązka pleciona: wersja zaplatana drutem. Nimfa sprawdziła się na lipieniach z Czarnego Dunajca oraz pstrągach z Soły i Koszarawy. Bardzo skuteczna w wersji nimfetka na haku #14-16. Do jej konstrukcji używam też flesza w kolorze biskupim.



Zajęczek: sztandarowa mucha skuteczna zawsze i wszędzie. W tym roku była niezwykle skuteczna na Dunajcu, na dzikusy i wpuszczające. Lipień pięknie ją gryzł ale w wersji jig na haku #16.



Ochotka: ta nimfa sprawdziła mi się je w wodach stojących podczas łowienia tęczaków i źródlaków. Ciekawostka na haku #8-10!



Spik: wejsja nimfy zajęczek. Do jej konstrukcji użyłem dubbingu z dodatkiem flesza. W tym sezonie kilku moich klientów zdobyło bardzo wysokie miejsca na zawodach łowiąc tą nimfą.



Quill: bardzo skuteczna nimfa na Dunajcu. Wykonywana w wersji z żółtym i ciemnooliwkowym podkładem.



Biały muddler- streamer sprawdzający się na rzekach i jeziorach. Brały na niego i tęczaki. Skuteczność potwierdzona na Sole, Koszarawie, Dunajcu, Wiśle oraz czeskiej Skaliczce



Czeszka: rewelacja na lipienie z Białej Łądeckiej Kwisy i Bobru.



Adam Sujka

Miniony sezon był trudny dla nas północy, ale także i dla ryb. Przy różnych przeciwnościach losu (kłusownicy i pseudowędkarze zabierający małe pstrągi, dużo drapieźników wodnych wybierających rybki) ciężko było złowić coś sensownego przy dodatkowym braku czasu na rozwijanie swojej pasji. Pomimo tego twierdzą jednak, że dużego pstrąga można jeszcze u nas złowić. To daje nadzieję na przyszły rok.

Łowiłem na klasyczne muchy: streamery, ślajzury szare i czarno czerwone, mudlery srebrno szare, oraz nimfy brązki i wrzosowe kielże.

Rozczarowanie? Mnie ciągle to samo przeraża: mentalność wędkarzy. Płacę to muszę rybę zabić i zabrać. Osobiście rozczarował mnie też mój brak czasu na swoje hobby i coraz mniej pobytów nad wodą.







Gdzie rozgrywać zawody?

Coraz częściej wśród wędkarzy startujących w zawodach z cyklu Grand Prix podnoszony jest problem małej ilości łowisk na których cyklicznie te imprezy są rozgrywane. Czy w Polsce są łowiska na których oprócz Sanu, Dunajca i Wisły można rozegrać takie zawody?

(T) Pierwszy krok to ustalenie kryteriów, jakimi należy się kierować wybierając takie łowiska:

- rzeka mogąca zmieścić 120 zawodników
- rzeka z rybami o wielkości min. 25 cm w określonej ilości na 100 m łowiska
- zaplecze noclegowe zapewniające dojazd do łowiska z bazy zawodów autobusem lub samochodem

Rzeka lub zbiornik spełniający takie kryteria, powinien otrzymać licencję wody sportowej spełniającej wymagania cyklu GP Polski. Do tego dochodzi grupa organizatorów. Też powinni mieć licencję na organizację takich imprez.

(P) Dobrze Jurku. Sprawa bazy dla zawodów wydaje mi się najłatwiejsza do zabezpieczenia. Tu szczęśliwie transformacja ustrojowa zrobiła robotę za nas – w atrakcyjnych turystycznie miejscowościach mamy hotele do wyboru do koloru. To samo dotyczy firm transportowych, cateringowych i innych potrzebnych do logistycznego zabezpieczenia imprezy. Natomiast jeśli dany Okręg (bo one przecież w dalszym ciągu mają monopol na organizację zawodów z cyklu Grand Prix) zgłasza się do ich organizowania, to znaczy, że posiada adekwatne „zasoby ludzkie” do realizacji tego zadania. Ale wracając do samych łowisk, to dlaczego woda ma pomieścić 120-tu zawodników, a nie dajmy na to 220-tu? Przecież obecnie liczba startujących w poszczególnych edycjach Grand Prix jest raczej bliższa właśnie tej liczby. Oczywiście, że mamy całą masę potencjalnych łowisk które są w stanie pomieścić nawet taką liczbę startujących. Problemem jest jednak spełnienie warunku, który umieściłeś na trzecim miejscu – odpowiedniej ich rybności. Tu sprawa wygląda już dużo gorzej. Moim zdaniem nie mamy w Polsce ani jednego łowiska, które może pomieścić choćby i 100 zawodników. A nawet jeśli takie są to ja Ci je wskażę – San i Dunajec. Dasz tym wodom licencję i co dalej? I dalej będziemy dreptać w miejscu. A jeśli im nie dasz, to innym tym bardziej. Czyli zawodów nie będzie. A swoją drogą, czy ilość chętnych do

DWU

Przemysław Lisowski

startu nie jest wynikiem faktu iż ograniczamy się do łowienia na praktycznie 2 rzekach, które potrafią w ciągu „dobrego” sezonu skumulować nawet 4 z 6 imprez, wliczając MMP? Zawodnicy wywodzą się głównie z Okręgów położonych w pobliżu Sanu i Dunajca, co napędza „koniunkturę” na zawodach.

(T) Ilość startujących powinna w wszystkich cieszyć. Więcej startujących to rozwój sportu muchowego, zainteresowanie wędkarstwem, więcej członków PZW. Ale błędne zasady regulacyjne w tym sporcie, powodują, że ludzie nim zainteresowani mają zbyt łatwy dostęp do startu w zawodach. Czasami nie posiadając podstawowych umiejętności jakie powinni posiadać. W dodatku wykorzystują luki w istniejących przepisach i przy organizacji zawodów na swojej wodzie sztucznie zwiększają ilość startujących w zawodach krajowych.

(P) Zaraz. Czegoś tu nie rozumiem. To z jednej strony

Dwugłos

(P) - Jerzy Paluch (T)

cieszymy się z liczby startujących, aby w następnym zdaniu stwierdzić, że jest ich zbyt dużo? Właśnie dlatego tyle osób przyjeżdża na zawody Grand Prix, iż może zmierzyć się z najlepszymi. Nie ma Ekstraklasy, I-wszej, II-giej ligi i Okręgówki. Przepraszam za tą piłkarską nomenklaturę. Zresztą nawet jeśli pójdziemy Twoim tokiem myślenia, to ja Ci mogę powiedzieć z miejsca kto znajdzie się w której kategorii rozgrywek. Bo chyba nie wątpisz, iż rozgrywanie zawodów praktycznie na 2 rzekach nie premiuje ekip miejscowych? Także łowienie w kółko na tych samych wodach negatywnie odbija się na selekcji zawodników do Kadry, co jest chyba jednym z głównych powodów organizowania GP.

(T) Ludzie chcą rywalizować od zawsze. Chcą porównywać swoje umiejętności na zawodach, jednak nie ma co kryć, że przy obecnych przepisach i przy obecnym stanie

wód jest to rywalizacja wypaczona i nie odzwierciedlająca absolutnie umiejętności poszczególnych osób. Dochodzi do kuriozalnych sytuacji, gdzie osoba zarybiająca rzekę przed zawodami, będąca zarazem organizatorem tych zawodów, startuje w nich jako uczestnik. To jest wypaczenie, nie wyrzut w stronę tych osób, ponieważ akurat one poruszają się w ramach obowiązujących przepisów. Jasne jest, że taka osoba szybko nie zapomni gdzie wrzuciła ryby, a zapewne poinformuje o tym wybrane osoby ze swojej drużyny. Takie właśnie kurioza, doprowadzają później do awantur, tworzenia się niepotrzebnych podziłów. Wyjściem jest stałe dostosowywanie przepisów do zmieniającej się dynamicznie sytuacji w naszym sporcie.

(P) Czy zmniejszenia ilości osób startujących w zawodach nie da się osiągnąć organizując większą ilość tur na różnych łowiskach w całym kraju? Jeżeli będzie to dajmy na to 10-12 zawodów, wówczas większość zawodników ograniczy ilość startów do tych które im najbardziej odpowiadają. Zarówno pod względem logistycznym jak i sportowym. Przez to okaże się, że mamy kilkadziesiąt łowisk nadających się do rozgrywania imprez GP, bo 100 osób pomieści większość rzek Pomorza i Południa. Zróżnicowanie wpłynie też pozytywnie na miarodajność wyników. Przecież obecnie można być w samym czubie GP łowiąc praktycznie na Sanie!

(T) Zasady należy zmienić. Pomysłów są tysiące. Ale nie żyjemy w próżni. Zmiana przepisów to domena organizatora cyklu. Tutaj powinny się pojawić nowe pomysły, a my szaraczki powinniśmy tylko zgłosić fakt dużego problemu jakim stała się obecnie organizacja zawodów rangi GP. W chwili obecnej masz możliwość zgłoszenia się jako okręg do organizacji zawodów tego cyklu. Po zgłoszeniu Twoja kandydatura zostanie rozpatrzona i zobaczymy czy zostanie przydzielona Ci taka organizacja. Nie wiem ile będzie chętnych. Z tego co wiem do tej pory, mało.

(P) Ale właśnie nie ma chętnych do organizacji zawodów GP w sztucznej muszce! Przecież co roku mamy Krosno, Nowy Sącz, Słupsk i od niedawna powtórnie Bielsko Białą, ale na wodzie Maćka Wilka. Mało, zwłaszcza że w przyszłym roku alternatywy nie widać. A paru osobom zapewne pociekło po nogawkach, jak Piotr Konieczny zadeklarował publicznie, że Krosno w przyszłym roku nie wystąpi o organizację zawodów ogólnopolskich w sztucznej muszce. Więc jest problem i go zgłaszamy. Tylko komu? I czy tego rodzaju pisanie nie jest przypadkiem próbą zmycia z siebie odpowiedzialności? Bo myśmymy mówili, pisali, napominali...Ale czy nie uważasz, że to troszkę zbyt mało? Moim zdaniem krytykowanie bez

podania swoich propozycji prowadzi donikąd. Czy nie warto pomyśleć nad organizowaniem części zawodów na wodach nizinnych? Skoro nie mamy odpowiednio dużych łowisk na wodach pstrąga i lipienia, dlaczego nie zrobić 1-2 tur na wodzie nizinnej? Czy łowienie szczupaków i okoni z łodzi tak bardzo różni się od „czochniania” streamerem i linką o 6-tym stopniu tonięcia biednych Myczkowców?

(T) Absolutnie tak. Powinniśmy organizować połowę zawodów na wodzie stojącej i połowę na płynącej. Nie ma co kryć, że zawody na zbiornikach są łatwiejsze do zorganizowania. W tej chwili na forum Flysport trwa dyskusja na ten temat. Jednak już po kilku postach widać, że wszystko znowu zmierza do Dunajca, Sanu, Wisły i Łupawy. Zmieniają się może terminy i ranga zawodów ale rzeki pozostaną te same. Dla mnie jest to całkowita porażka. Nie wiem z jakiego powodu się tak dzieje. Czy organizatorzy z ramienia okręgów są tak leniwi, czy nie mają warunków na stworzenie dobrego łowiska jeziorowego na jednorazowe zawody w roku. Jednorazowe dla zawodników, bo grono wielkich przeciwników sportu i zawodów sportowych, pojawi się gromadnie na tych łowiskach i wytrzebi co się da w dwa dni. Zawody jeziorowe są łatwiejsze do organizacji między innymi dlatego, że ilość jezior, które można zaadoptować do naszych warunków jest bardzo duża. Ośrodki oferujące miejsca noclegowe są nad samymi jeziorami, może odpaść koszt transportu na łowisko.

(P) Z tym twierdzeniem się nie mogę zgodzić. Choćby zabezpieczenie łódek i silników (patrz ostatnie MMP) jest wyzwaniem, któremu obecnie nie są w stanie sprostać nawet najlepsi w Polsce. Czy nie jest rozsądnym pomysłem, aby rozgrywać zawody na wodach specjalnie przygotowywanych pod takie imprezy? Czyli specjalnie zarybianych. Po pierwsze dzika ryba nie sprzyja magicznej dla niektórych łowiących „równości” łowiska, a przy okazji po zawodach ryby w łowisku zostaną co przyczyni się do wzrostu jego atrakcyjności.

(T) Zarybianie przed zawodami powoduje wypaczenie wyników. Zarybienie dokonane dużo wcześniej przed zawodami, są sensowne, ale specjaliści w te dziedzinie powinni sami stwierdzić kiedy ryba wpuszczona zdziczeje na tyle, żeby zachowywała się w sposób zbliżony do zachowania ryby dzikiej. Ryba wpuszczona przed zawodami pozostaje po zawodach w łowisku więc może stanowić dodatkowy zysk dla organizatora. Zgadzam się z Tobą, że w przypadku łowisk jeziorowych naturalnym będzie ich rozsądne czasowo dorybienie przed zawodami. Jeśli chodzi o łódki i silniki: każdy z okręgów posiada własną

łódkę i silnik. Zawodnik może przywieźć własną ale większego sensu to nie ma bo w dobrych ośrodkach sportów wodnych łódek jest w bród. Wystarczy kliknąć i sprawdzić.

(P) Odnoszę Jurku wrażenie, że chcesz mieć wszystko tu i teraz. Już ustaliliśmy, że nie mamy wód z dziką rybą, na których możemy pomieścić zawody z cyklu Grand Prix. Ty i wielu innych startujących jako antidotum podajecie zmniejszenie liczby zawodników. A ja powiem tak. Kiedyś takie wody mieliśmy! Na „Lipieniu Popradu” startowało ponad 200-tu wędkarzy i jakoś się mieścili. Teraz nie ma wody, więc zmniejszmy liczbę do 120-tu. OK. Za 3 lata nie będzie wody dla 120-tu, to zmniejszmy liczbę startujących do 60. Po kolejnych 3 latach ... I tak dalej. To co proponujesz nie jest rozwiązaniem problemu braku łowisk i ryb. To jedynie wydaje się rozwiązywać problemy kilkuset gości, którzy startują w zawodach. Ale jak już pokazałem tylko pozornie. Bo i zawodnicy i wędkarze w zawodach nie startujący łowią na tych samych wodach. I jeśli nie będzie w nich ryb, to nie ma takiej metody aby którakolwiek z tych grup była zadowolona. Powoduje to tylko frustracje i wzajemne oskarżenia. Zawodnicy oskarżają nie zawodników, iż ci „beretują” ryby,

ci zaś wylewają swoje żale na forach internetowych i nie tylko, iż po zawodach, jak sam to napisałeś w poprzednim wydaniu „rzeka sphywa krwią”.

A co do zarybienia na długo przed zawodami, to przecież dokonywane są one co roku! Popatrz na plany zarybień. Chyba nie postulujesz, aby organizatorzy przez rok sypali rybę do wody z myślą wyłącznie o zawodach?

(T) Oddzielmy kwestię jezior od rzek. Rzeki zarybiane są sukcesywnie, lepiej lub gorzej. Na rzekach zawody powinny odbywać się na rybie dzikiej. Na jeziorach zdecydowanie na wpuszczanej. I taki model powinien zostać jak najszybciej wdrożony.

Jeśli chodzi o ilość startujących w zawodach. Jeśli to jest dla kogoś biznes, to powinien się cieszyć, że 200 zawodników wpłaci do kasy 90.000 zł. To niemały budżet z którego można wyciągnąć sporą kwotę na zarybienia po zawodach również. Czyli tak naprawdę organizatorzy powinni się cieszyć, że mają do dyspozycji budżet o takiej wysokości. Im więcej tym lepiej. Ale wspomniane wcześniej licencje na organizację zawodów powinny zawierać klauzulę maksymalnej pojemności łowiska. Nie możemy zrobić zawodów na 200 osób na Łupawie lub Wiśle, a nawet Czarnej Przemszy.

(P) Dodatkowy problem, który wzięliśmy sobie na głowę i który powoduje postulaty zmniejszenia

ilości startujących to własne czenie OS-ów na Sanie i Dunajcu jako sektorów w zawodach. Ich pojemność niejako determinuje liczbę startujących. Przy trzech sektorach (jeden jest na OS-ie) liczba startujących może równać się mniej więcej trzem pojemnościom OS-u. Zadam bardzo prowokacyjne pytanie. To może wyłączmy te odcinki z terenu zawodów? Nie będzie wówczas znajomości brzmących oskarżeń o to, że ktoś na zawody przyjeżdża, aby za darmość na łowisku specjalnym połowić. Szanse startujących będą równe, a i gospodarz zarobi bo będzie mógł sprzedawać dniówki na dany dzień?

(T) Zawodnicy przed zawodami trenują. Ci którzy traktują starty poważnie. Na Łupawie widziałem na tydzień przed zawodami ekipy po kilkanaście osób. Trenowali, jedli, spali, płacili za łowienie. Tak więc „za darmość”, to kwota rzędu 490 zł do wydania z własnej kieszeni zawodnika plus dojazdy na łowisko. Tylko na trening. Większość zawodników płaci również startowe (450 zł) bo okręgi nie mają pieniędzy na finansowanie swoich druzyn (!!!). Czyli w sumie jest to około 1.200 zł na imprezę. Darmocha?

Wyłączenie OS-ów z zawodów jest możliwe. Nie wiem kto to wymyśla, ale nie sądzę żeby zawodnicy mieli coś przeciwko. To jak z tymi sznurami na Wiśle: zabroniona jest żyłka

to kupujemy sznur #00 Sage i łowimy tak samo skutecznie. Zawodnik średniej i wysokiej klasy, potrafi łowić ryby każdą metodą i w każdych warunkach. A czy to będzie na OS-sie czy nie, nie ma większego znaczenia. Właściciel OS-u tylko straci na trenujących przed zawodami zawodnikach... Jeśli chce tracić, nie widzę problemu. Nie róbmy zawodów na odcinkach specjalnych.

(P) Zaraz, zaraz to Ty pisałeś o chęci łowienia „za darmość na OS” gdy dyskutowaliśmy o kosztach startu w zawodach GP. A dla większości zawodników trening jest równoznaczny z chęcią połowienia na fajnej wodzie, więc o fakt, iż trenować będą także na OS-ach jestem spokojny. Zresztą, nawet jak nie będą trenować, to licencje mogą zamiast nich kupić inni wędkarze. I nie będzie przy tym pomysłów, że skoro zawodnik łowi na OS 3 lub 4 godziny, to powinien płacić 25% dniówki czy coś tam! A teraz z innej beczki. Które rzeki, Twoim zdaniem nadają się obecnie w naszym kraju do rozgrywania zawodów z cyklu Grand Prix, a które mają szansę w dającej się przewidzieć przyszłości takowymi się stać?

(T) Wydaje mi się Przemku, że zadałeś źle to pytanie. Nie chodzi o to które się nadają, bo nadają się dokładnie wszystkie znane rzeki, zasobne w lipienia i pstrąga. Wystar-

czy, że wygrywający złowi jedną największą rybę. Ale chodzi nam też o wystarczający poziom takich zawodów. Czy na zawodach cyklu GP powinna decydować jedna ryba? Chodzi o to żeby określić jak pojemne są te rzeki i czy np. San pomieści taką samą ilość zawodników jak Biała Łądecka. Raczej nie. Stąd pomysł licencji na organizowanie zawodów z określonym ich standardem. Jak przyjmujemy taki sposób postępowania, przejdziemy automatycznie do następnych regulacji dotyczących klasyfikacji zawodników w zawodach cyklu GP i wyłaniania kadry PZW. Każda woda się nada, bo do klasyfikacji można zaliczyć każdą złowioną poza okresem ochronnym rybę. Największą naszą bolączką są obecnie przepisy, brak rzek czy jezior ale brak chętnych do pracy ludzi. Komentatorów za to jest sporo, bo łatwo jest wieczorem usiąść przy piwku i parę bzdur napisać.

(P) Bijemy się we własne piersi?

(T) Ja piwa nie piję :)

(P) Ja będę się upierał, iż nie wszystkie wody nadają się do przeprowadzenia na nich zawodów rangi Grand Prix. Decydują o tym następujące kryteria: rozmiar łowiska w stosunku do ilości startujących (chyba nie zorganizujesz „Romanszyna” na Białce Tatrzańskiej?), jego charakter, dostępność i rybność. Więcej grzechów nie pamiętam. Gdybym w chwili obecnej miał wskazać kilka dalszych potencjalnych łowisk, które powinny odciążyć San i Dunajec, to głosowałbym właśnie za Białą Łądecką i Nysą Kłodzką na Południu oraz Wdą na Północy. Zapewne do tej listy można dodać jeszcze kilka innych rzek, z których część kiedyś nawet gościła zawody

ogólnopolskie – Raba (poniżej i powyżej Dobczyc), Soła, Skawa, Wieprza, Słupia... A jeżeli dopuszczamy rozgrywanie zawodów na dwóch łowiskach jednocześnie, to ten katalog można jeszcze rozszerzyć. I chyba nie chodzi tu nawet o lenistwo potencjalnych organizatorów. Popatrz ile imprez odbywa się na szczeblu lokalnym! Często ich obsada sięga 50-70ciu zawodników! Tak więc, są ludzie którzy chętnie biorą się za ich przygotowanie. Dlaczego zaś nie chcą być odpowiedzialnymi za zawody GP? Może nie odpowiada im ich formuła, może nie lubią „sportu wędkarskiego” i „sportowców”, może nie zależy im na reklamie, która nie pociąga za sobą zysków, a jedynie najazdy głodnych kolegów po kiju? Powodów może być nieskończenie wiele.





Gospodarstwo Agroturystyczne

POD HUBAMI

**Gospodarstwo Agroturystyczne
POD HUBAMI**

www.podhubami.com.pl

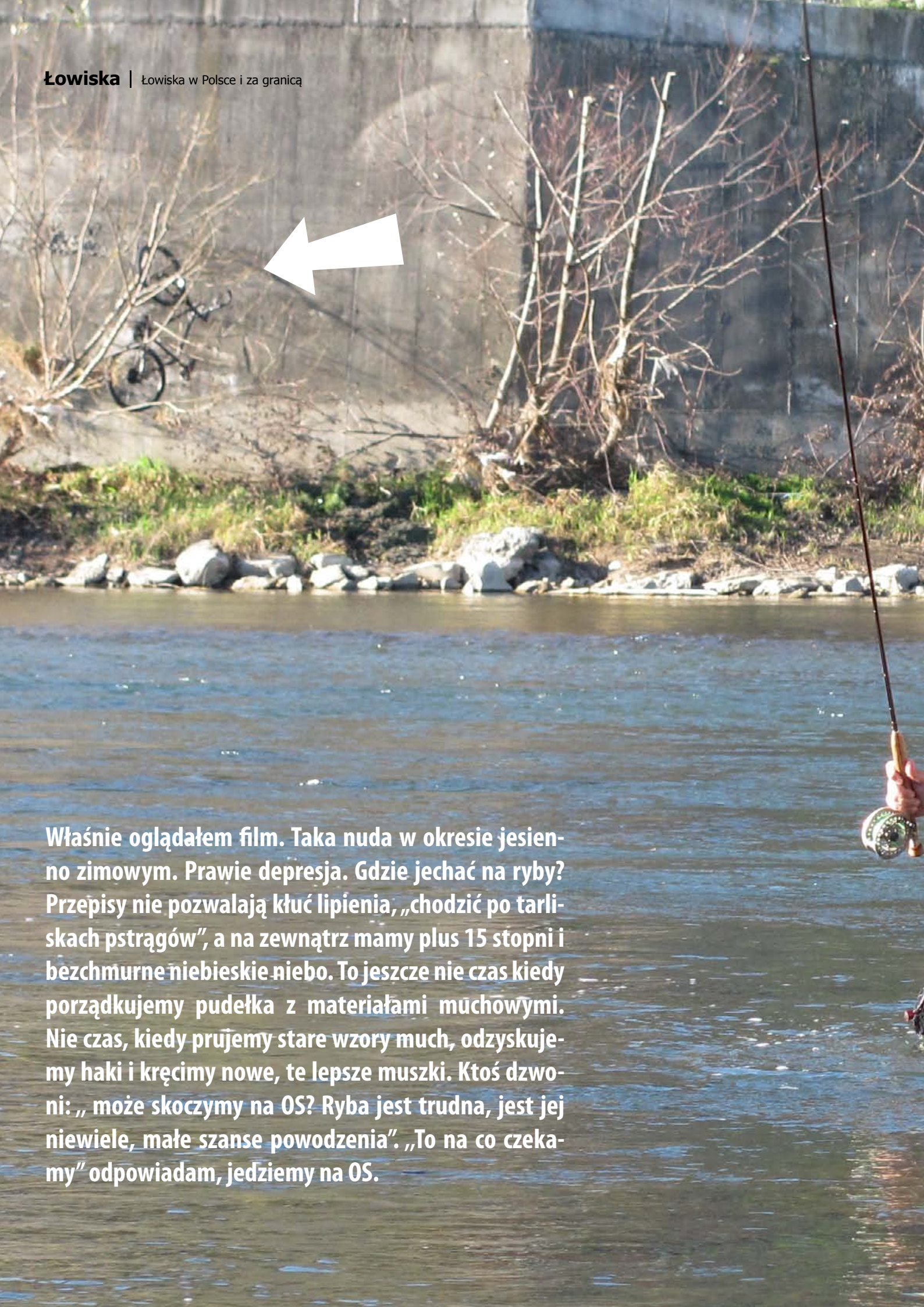
Anna i Franciszek Sikoń
ul. Miłośników Podhala 104a
34-425 Biały Dunajec

tel. (0-18) 20 73 756
tel. kom. 0 691 382 490

Pokoje 2,3,4 i 5-osobowe.
Możliwość wyżywienia. Wszystkie pokoje
posiadają własną łazienkę. Służymy radą w
planowaniu i organizacji wycieczek w góry,
lub w najbliższe okolice.

Kompletnie wyposażona kuchnia do dyspo-
zycji gości. Ogrodzony i oświetlony parking.
Ogród do dyspozycji. Organizujemy kuligi.
Pomagamy w organizacji wyjazdów dla węd-
karzy, a także w wyprawach na grzyby.





Właśnie oglądałem film. Taka nuda w okresie jesienno zimowym. Prawie depresja. Gdzie jechać na ryby? Przepisy nie pozwalają kłuć lipienia, „chodzić po tarli-skach pstrągów”, a na zewnątrz mamy plus 15 stopni i bezchmurne niebieskie niebo. To jeszcze nie czas kiedy porządkujemy pudełka z materiałami muchowymi. Nie czas, kiedy prujemy stare wzory much, odzyskujemy haki i kręcimy nowe, te lepsze muszki. Ktoś dzwoni: „może skoczmy na OS? Ryba jest trudna, jest jej niewiele, małe szanse powodzenia”. „To na co czekamy” odpowiadam, jedziemy na OS.

Dom latających rowerów





Odcinek specjalny wita nas piękną pogodą. Gratis. Darmowe są też widoki, ale już po chwili podjeżdża Polonez i wysiadający z niego strażnik (w cenie) objaśnia nam ilu jest łowiących i jakie mamy szansę na rybki. Tu możemy łowić pstrągi, tu możemy pokusić się o poszukanie lipienia (all inclusive). Stan wody bardzo niski, a Wiesiu stwierdza „takiego niskiego Dunajca jeszcze nie widziałem...”.

Za moimi plecami można łowić. Można deptać po pstrągach i kłuć lipienie. Prawie gratis. Poniżej mo-



stu widać wędkarza, widocznie on też przestrzega przepisy. To samo powtarza się na górnym odcinku OS. Dwie, trzy osoby łowią powyżej mostu w Krościenku, schodząc pod samą tablicę wyznaczającą początek łowiska. Oni mogą.

My zaczynamy jednak na dole. Na samym końcu Tylmanowej staram się znaleźć lipienie. Koledzy patrzą się na mnie trochę dziwnie, przecież pstrąg tu jest i nieźle bierze. Łowią co kilkanaście minut większe lub mniejsze sztuki, a wszystko w przedziale 30-40cm.

Przemieszczam się w dół i nauczony prze Józka jak szukać miejsc lipieniowych, ku swojemu zaskoczeniu lokalizuję jedno stadko. Jeden, drugi, wszystko na lekkie nimfki w jasnych kolorach. Po chwili jeden, dwa miarowe „porządne” lipasy ma-

ląją na moim obliczu uśmiech i nie powiem, lekkie zdziwienie. Mówiono mi, że lipienia tu nie ma, że dominuje pstrąg. A jednak są. Zarybienie? W sumie z jednego dołka pociągnąłem może kilkanaście sztuk. Z tego 3-4 takie 30+. Jako klient łowiska jestem zadowolony.

Chłopcy kontynuują łowienie pstrągów i kleni. Ja wychodzę na chwilę na brzeg, podziwiając pomysłowość miejscowych. Zamiast trzymać rowery w garażu, wieszają je na pobliskich drzewach. Sprytnie ukrywają je w takich miejscach, że tylko od strony rzeki widać gdzie tak naprawdę są. Ciekawy podhalański zwyczaj.

Nie śmiałem zapytać o to mieszkańca Tylmanowej jaki pojawił się po chwili obok, ponieważ i tak jego relacja dotycząca tego co dzieje się na OS Dunajec, trochę popsła mi humor. Kłusownictwo na potęgę. Wieczorne i nocne zasiadki na rybę, są już tutaj standardem. W użyciu są mocne latarki, sieci, beczki, łódki i masowe wyciąganie ryb z łowiska. Dostało się też zarybiającym odcinek, bo podobno część ryb nie ląduje w wodzie, ale również w reklamówkach tych co zarybiają. No cóż, biorąc pod uwagę to, że to odcinek komercyjny jest to sprawa gospodarza łowiska. Może zarybiającym wolno. Nam nic do tego. My jesteśmy traktowani z pobłażaniem bo „jak tu Panie nie brać ryby?...”

Czując się trochę jak wykorzystywany pół idiota, wracam do poszukiwania lipieni. Jest dużo ryb w granicach 25-27 cm. Stoją po kilkanaście sztuk w płytkiej wolnej wodzie. Aż strach pomyśleć co będzie jak jakiś kłusownik je wypatrzy. Ponieważ dzień jest krótki, skupiam się na poszukiwaniu większych sztuk. Zakładam trochę większą przynętę, wzmacniam zestaw i wchodzę w najgłębsze partie rzeki. Dunajec jest bezbronny. Nie powali mnie swoim naporem wody. Większość odcinków niedostępnych wiosną i latem można teraz spokoj-

nie penetrować nie zanurzając się bardziej niż po uda. Raj dla kłusoli, a Polonez jeden jedyny.

Po chwili prowadząc agresywnie zestaw, mam mocne uderzenie i luz. Urwany przypon. Może to kleń może duży pstrąg. Duży lipień raczej by się zapiął. Zmieniam żyłkę na 0,14 i próbuję w tym samym miejscu dalej. Po chwili mały lipionek. Później kolejne uderzenie na wyprostowanym zestawie i znowu luz. Drugi urwany przypon.

W tym miejscu przez następne 20 minut nie miałem już brania. Dunajec taki jest. Pozwoli ci najpierw pobawić się trochę, a prędzej czy później w taki lub inny sposób pokazuje swoją moc. Czy to przez wodę, czy przez obecność naprawdę dużych ryb, czujesz wtedy gdzie twoje miejsce. Przez ludzi również.

Nie ryzykując zbyt, walcząc trochę z wiejącym wiatrem, skończyłem łowienie. Koledzy też byli już na brzegu popijali gorącą herbatkę i wymieniali się swoimi wrażeniami z łowiska.

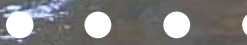
Myślę, że najtrafniejszym słowem jakie nasuwa mi się w tej chwili, to określenie „wyjąłowanie”. Dunajec na odcinku OS jest sztuczny, wyprany z jakiegokolwiek naturalności zbliżającej nas do określenia: „łowiliśmy na dzikiej rzece...” Biorąc pod uwagę stany wód w tym roku i związane z tym problemy, można powiedzieć, że nie jest źle.

Niestety wynaturzenie powstałe za sprawą człowieka, ludzi, powoduje, że mam szalenie mieszane uczucia łowiąc w takich warunkach i na takiej rzece.

W dalszym ciągu uważam, że powołanie odcinka OS miało sens. Ale całkowitym bezsens jest powierzanie tak cennych skarbów przyrody, osobom niekompetentnym, działającym w tym miejscu.



P



uchar Ziemi

Północnych

Tekst i zdjęcia: Adam Sujka





Zawody te mają formułę OPEN czyli zawodów dostępnych dla wszystkich. Oficjalnie są to Muchowe Mistrzostwa Ziem Północnych, Klubów i Towarzystw w klasie Junior i Senior. Puchar Ziem Północnych w tym roku odbył się aż na trzech rzekach: Łupawie, Słupi i Kamiennicy.

Gościł nas wspaniały ośrodek „Zawiały” nad jeziorem Jasień. Domki od 3 do 6 osób były ciepłe i oferowały bardzo wysoki standard. Odmiennością trzech pobliskich łowisk stanowiła dla nas wędkarzy muchowych, wspaniałe urozmaicenie. Dla około 60 wędkarzy z całego Pomorza była to wyjątkowa okazja aby konkurować na trzech łowiskach w jednych zawodach.

W tym roku niestety nikt z naszych kolegów z południa kraju do nas nie zawitał, a szkoda.

Zawody składały się z 2 tur, rozegranych w ciągu dwóch dni, pomiędzy 23, a 24 października 2010 roku. Jedna tura liczyła 4 godziny, uczestnicy sędziowali sobie wzajemnie w parach nie zmieniając się pomiędzy turami. Ustalono wymiar lipienia na 30 cm. Rywalizacja toczyła się pomiędzy juniorami (4) seniorami (55) oraz zespołowo (18 drużyn).

W sumie w trakcie zawodów złowiono około 200 sztuk lipieni. Największy złowiony przez Waldemara Smorawińskiego miał 42,5 cm. Waldek reprezentował Koło Lipień z Wejherowa i otrzymał za swoją zdobycz Puchar Przechodni tzw „szkieletora”.

1 miejsce 6220 pkt

Jacek Grabowski

Łowiłem całe zawody na dwie muchy : brazkę typową na haku numer 14 bez żadnych kołnierzy, flashy i dodatków i kielża swojej produkcji.

Kielż na haku numer 12 (i co ciekawe bez główki). Łowiłem metodą żyłkową, starając się szukać ryb w wolnych nie za głębokich miejscach za zawadami. Zwykle w tym okresie czasu lipienie ustawiają się grupowo właśnie w takich miejscach. Kluczem tutaj jest zbliżenie się do nich i podanie od góry kielży. Brania są bardzo delikatne, więc stosowany zestaw też powinien być odpowiednio lekki.



2 miejsce 5080 pkt

Michał Greszta

U mnie dominowała nimfa. Stosowałem jak prawie wszyscy kielże i brązki z akcentami. Po nerwowym początku dobrałem wreszcie odpowiednie muszki i zacząłem łowić.

Lipienie stały w głębokich dołkach i na wolniejszej spokojnej wodzie.



3 miejsce 5540 pkt

Piotr Kręciłowa

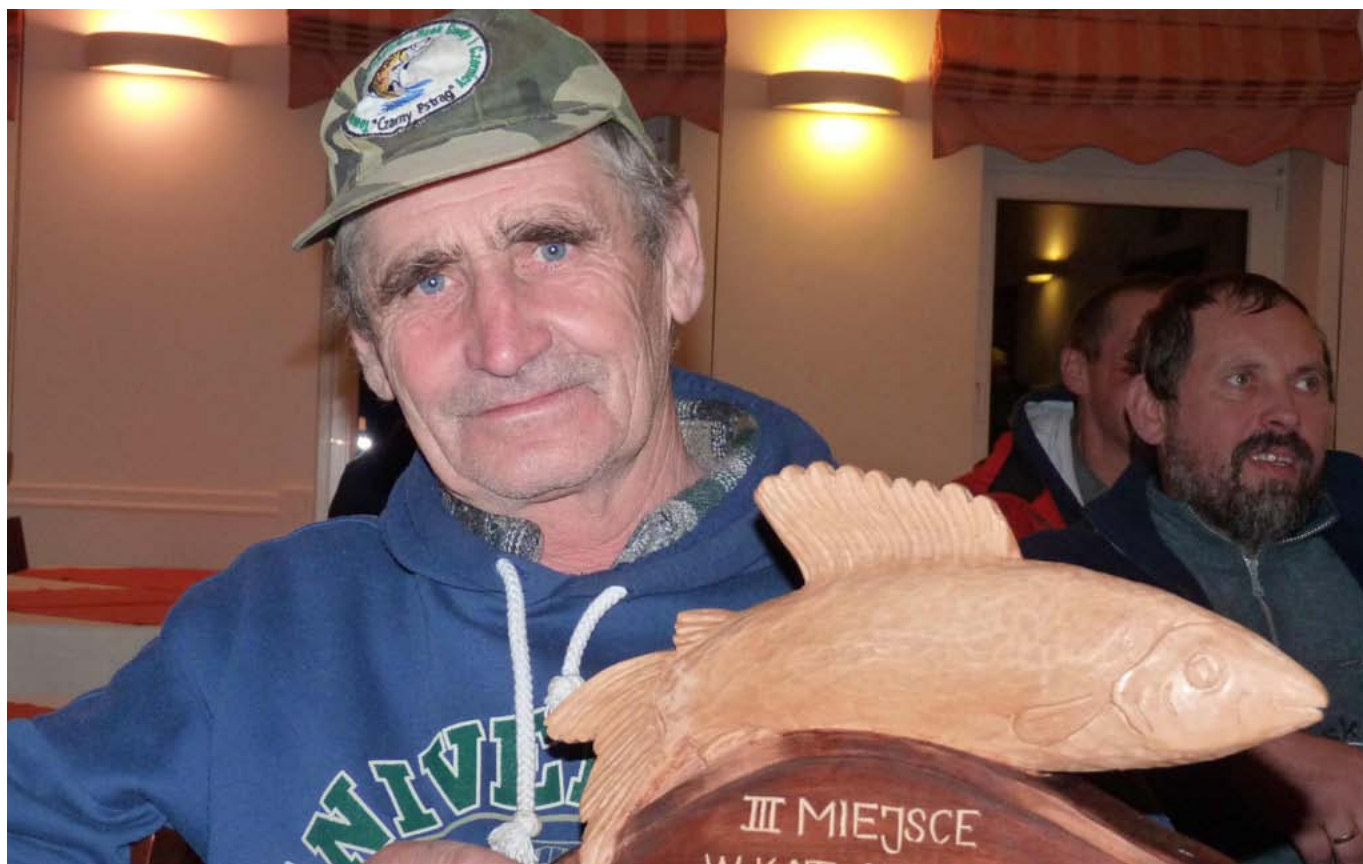
Łowiłem tradycyjną metodą czyli na krótką nimfę.

Szukałem ryb jak to zwykle o te porze roku, na wodzie do pasa, raczej wolniejszej z równym uciążem, mało zmieniałem muchy bo nie było takiej potrzeby.

Łowiłem na muchy przygotowane przez syna Darka one są zawsze skuteczne!







Drużynowo**1 miejsce 11240 pkt****Lipień I Wejherowo****suma miejsc: -31****2 miejsce 9480 pkt****Koło 62 Wejherowo****suma miejsc: -37****3 miejsce 9980 pkt****Koło Czarna Dąbrówka****suma miejsc: -49**



HEAVY METAL

GRAYLING

Hooked on
flyfishing

www.grayling.pl